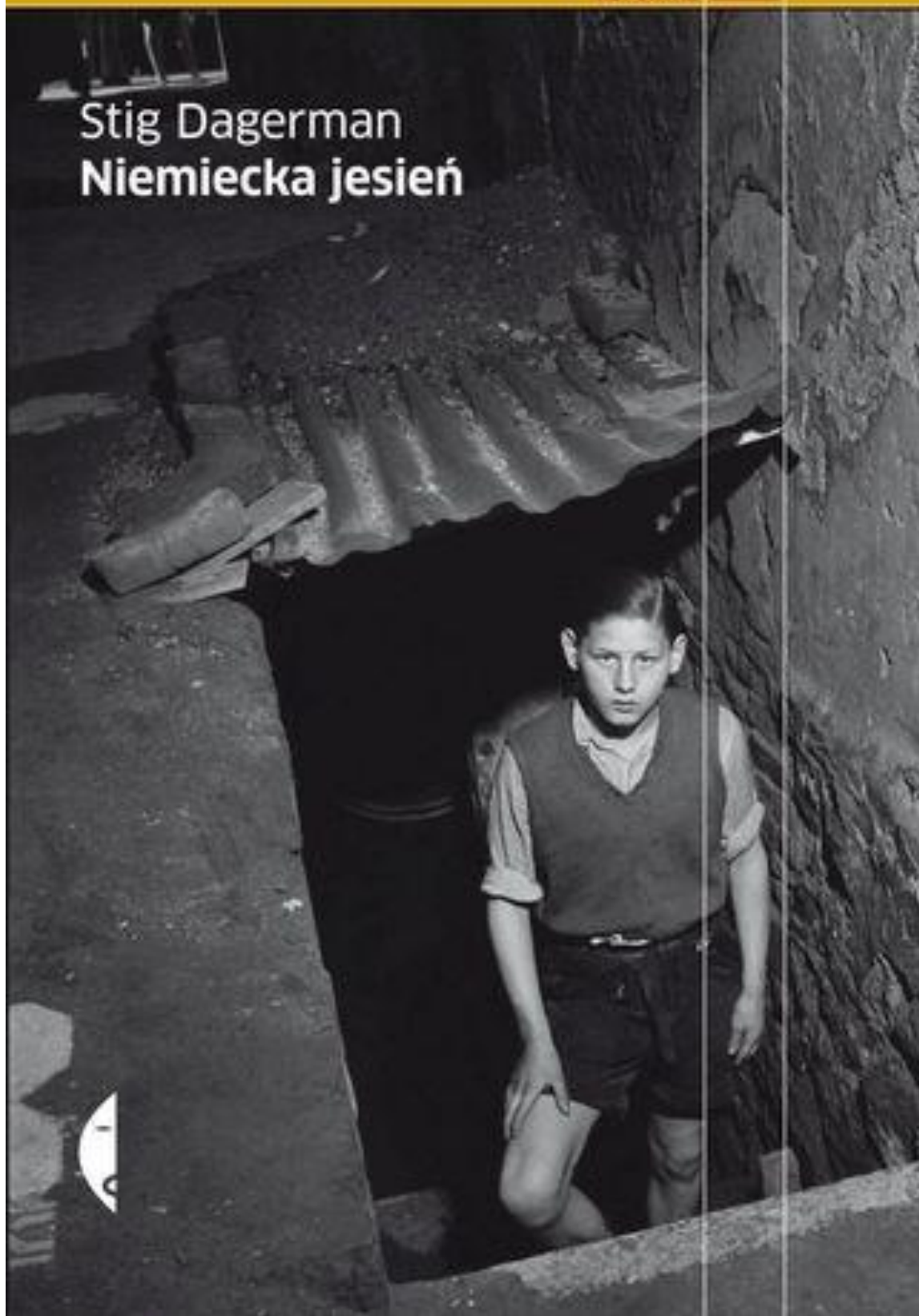


REPORTAŻ

Stig Dagerman
Niemiecka jesień



Stig Dagerman

Niemiecka jesień

Reportaż z podróży po Niemczech

Ze wstępem Elfriede Jelinek

Przełożyła Irena Kowadło-Przedmojska



Wołowiec 2012

Postój czasu

Dowiaduję się o bardzo młodym mężczyźnie podróżującym po zrujnowanych, spalonych powojennych Niemczech, od autora Stiga Dagermana dowiaduję się, co to znaczy: bez gniewu i stronniczości. *Sine ira et studio*. Ja bez tego napędu nie umiałabym pisać. Autor ogląda więc „upadek” (jeszcze nigdy nie myślałam o tym słowie w taki sposób, długo nie wolno go było używać, definiowanie klęski hitlerowskich Niemiec z perspektywy sprawców było niepoprawne politycznie. Zwycięstwo aliantów, „zrzucenie jarzma nazistów” tylko tak określano - i słusznie! - niemiecki czas chłodu i głodu tuż po wojnie. Dagerman oddaje tamtym głodującym i marznącym słowo, do którego wprawdzie nie mają prawa, lecz które także przekazuje jakąś prawdę) bez pyszałkowatego przekonania, że jego zdanie zostanie kiedyś wzięte pod uwagę, przez kogoś; młody mężczyzna z daleka jedzie przez spustoszony kraj, gdzie ludzie cierpią tak, że nazbyt gorliwie gotowi są sami siebie nazwać sprawcami (za worek ziemniaków i kostkę margaryny powiedzieliby o sobie wszystko, co chciano by usłyszeć, zresztą z góry wiedzą, co chcą usłyszeć ci, którzy przyjeżdżają ze Szwecji albo skądinąd, spoza, z miejsca, którego oni jeszcze długo nie poznają. Grzecznie recytują, co mają do wyrecytowania, tak jak wtedy, gdy nie własnymi słowami przyrzekali Trzeciej Rzeszy siebie, wierność, wówczas nazywała się ona honorem, a może było na odwrót, albo tylko nieliczni z nich, którym teraz wiedzie się równie źle jak winnym czy półwinnym), ale w przyglądaniu się sprawcom i ofiarom nie ma gniewu ani stronniczości, jest wyłącznie wnikliwy wzrok autora, szwedzkiego dziennikarza, który przychodzi nie po to, by wniknąć, czego właściwie należałoby się spodziewać po porządnej wnikliwości (którą można też „wyciągnąć” za pomocą kamery, jak lepszą kartę z talii podczas gry), lecz by zajrzeć, wysondować puste miejsca, dokonać pomiarów kątów i kantów, i luk (to właściwie otchłanie!), samemu zachowując umiar. Ten wzrok nie mierzy i nie waży, nawet nędzy. Ogląda i opisuje. Można to robić tak albo tak. Ale Stig Dagerman opisuje (nie: nadpisuje), pisząc. Tak, także o warsztacie pisarza w martwym lesie, gdzie jeszcze istnieje kultura, książki, gdzie córki nazwano na cześć postaci literackich, gdzie je się ziemniaki z kapustą, i: o maszynach do pisania, które można sprzedać, jeśli potrzebuje się jeść, co niestety jest

potrzebne, ale jedna musi zostać, dla własnych potrzeb, inaczej przestanie się być pisarzem. Kawalek maszyny jest do tego konieczny. Co to znaczy odpowiednio do czasu? pyta Dagerman w obliczu arystokratycznego bytu pośrodku przerażającej biedy (pisarz także jest o włos od totalnego upadku) i mówi o „warsztacie pisarza, dla którego czas istnieje dopiero wtedy, gdy jest za późno”. A więc dla historyków i kronikarzy, dziennikarzy i pisarzy (to nie przypadek, że prawie żaden niemiecki autor - jeśli nie liczyć Gerta Lediga - nie pisał o traumie, bombardowaniach czy okropieństwach powojnia. Później także niemal nigdy nie były one tematem niemieckojęzycznej literatury).

Czasu nie można zatrzymać i nie można się go przytrzymać, to nie jest uchwyt. Można w nim przeminąć albo być minionym, choć człowiek jeszcze żyje, w dzisiejszym otoczeniu, nie będąc otoczonym, więc nietrzymany pod strażą, w otoczeniu, którego nikt się nie spodziewał. A mimo to zaistniało. To, na co nikt nie czeka, także na pewno zaistnieje. Dla czasu nie ma to znaczenia. U Dagermana czas odbywa się dokładnie wtedy, gdy się odbywa, gdy jest, gdy jest uosobieniem samego siebie, w swoim żywiole; nie można sobie wybrać miejsca, gdy czas się odbywa, gdy nadszedł czas czasu, jak mawia się o umierających, oto nadszedł ich czas i z całą pewnością nie będzie wielki. Wtedy i tylko wtedy czas się zatrzymuje. Czas przynosi słowa albo sprawia, że milkniemy. „Silna burza nad Hamburgiem” czytamy w dzisiejszym teletekście, oznacza to, że obchody urodzin portu niemal wpadły do Elby, jak spadochroniarz, któremu rzeczywiście się to przydarzyło. Ale słowo burza straciło dla mnie niewinność, odkąd przeczytałam u Dagermana opis skutków burzy ogniowej nad tym najbardziej dotkniętym z niemieckich miast i nad jego ludźmi z ruin, nor i odpadków. Nie mogę jednak powiedzieć, co tu jest napisane, dlatego że autor już to powiedział i nikt nigdy nie powie tego w taki sposób. Dokładnie tak jest napisane. Nie wyrecytowane, czasu nie można wyrecytować. Nie można wystawić mu krzesła za drzwi, jeśli się nam nie podoba. Nie da się. Czas sam niesie się dalej. I nie niesie ze sobą resztek przeszłości, zostawia wszystko, jak jest. Nie umie inaczej. Ale w powojennych Niemczech ludzie ciągną za sobą przeszłość jak resztki łożyska; i gdyby te resztki były jadalne, zjedliby je, lecz nie mogą, bo są ich częścią, resztki, strzępki mięsa, które chciałoby się, ale których nie można zjeść, bo są z własnego ciała. Z własnego ciała zostały wyrwane. Stig Dagerman nie wyssał tego wszystkiego z palca, jak mówi się o tym, co zmyślane. Nie wziął z własnego ciała. Ma dość innych ciał, tyle że prawie bez krwi.

Czas można zachować tylko wówczas, gdy staje się on zapisanym papierem. A wszystkie zapiski o przeszłości odnoszą się równocześnie do tego, co było jeszcze wcześniej, tak więc relacja o powojenności w Niemczech odnosi się do przedwojenności, do przedtem,

kiedyś opisanego przez innych. Czas jest skazany na zapiski nie dlatego, że pozwalają mu utrzymać się przy życiu, tak się nie da, tak się zresztą dać nie musi, bo czas płynie wciąż dalej i dalej, lecz z tego powodu, że tylko dzięki nim może sam siebie zrozumieć. Poza tym dostaje wówczas coś, z czego sam może się odczytać, jak z licznika prądu albo gazu. Ale nie, czas wcale nie chce się rozumieć, to my tego chcemy. To my jesteśmy zdani na komunikujące odnośnienie się do przeszłości, w przeciwnym razie zostaniemy wyparci z pewnego miejsca w teraz. I tylko tak możemy to miejsce wyznaczać, inaczej nigdy go nie znajdziemy! (chyba że wolelibyśmy, żeby zrobili to obcy albo my, którzy staniemy się wówczas obcy samym sobie). Dziś to jakaś mowa o przeszłości, nie, to ta właśnie mowa o przeszłości, którą wygłasza Dagerman, nie, źle, to przeciwieństwo mowy o przeszłości, którą by wygłosił, i to także przeciwieństwo przeszłości, która została opisana, bo to mianowicie jest terażniejszość. To wówczas była terażniejszość i to jest przeciwieństwo mowy. Autor po prostu o czymś mówi, w coś wchodzi, zakładając własne rozumienie rzeczy, o których mówi, można by powiedzieć, że rzuca to rozumienie jak cień, w który wchodzi się, chociaż właściwie powinien leżeć za człowiekiem. Wszystko i każdego z nas można rozumieć w swoisty dlań sposób. Gdy patrzy się na to stracone pokolenie Niemców, a właściwie jest ich wiele, jak dowodzi Dagerman, wiele straconych pokoleń, każde z nich (i każde z nich w detalu) można rozumieć w swoisty sposób. Kawalek swoistego zrozumienia dla pyzatego chłopca, który znów je pajdę chleba z gęsim tłuszczem (jego ojciec był oskarżycielem w nazistowskim sądzie, potem kupił piękne gospodarstwo, na którym teraz gospodaruje. Oczywiście takie gospodarstwo żywi swojego pana), kawałek dla głodujących w odstawionym na bocznicy pociągu towarowym, którego nie wpuszcza się do miasta, bo jest to, no właśnie: zakazane, jak wiele innych rzeczy, albo dla koszmaru w innym pociągu, przepełnionym do tego stopnia, że niektórzy stoją na jednej nodze, a ziemia z ziemniaków na półkach sypie się na głowy.

Dagerman jest źródłem, lecz nie takim, które tryska, raczej po prostu wypływa, bo inaczej nie umie. Nieważne, co zrobimy z wodą, ale tu jest. Istnieje. Niezależnie od tego, czy patrzymy w jej stronę. Czy możemy się w niej wymyć do czysta. To, że źródło istnieje, nie znaczy, że czegoś się dowiadujemy i wiemy, lecz że było coś, co zostało zapisane, nie na wodzie, bo dawno by znikło, ale na papierze rzekomo cierpliwym (który dla mnie zawsze był cierpliwy, niecierpliwy komputer przyjdzie dopiero później), tak, zapisane nie opiera się na źródle, ono jest źródłem, które istnieje tylko dlatego, że coś było, zaświadczone, zapisane przez kogoś, kto widział, więc słusznie świadczy i znaczy (jak ziemia wodę), i zaświadcza. To, co było, zostaje poświadczane jako terażniejszość obserwatora, takiego jak Dagerman, który widział i zapisał, i tym samym wynosi czytelnika do nowej rangi, strażnika świadka,

który sam widział i przeżył. Źródło jest niepodzielne, to znaczy nie może zostać podzielone na ważne i nieważne, żeby człowiek wziął, czego potrzebuje, ważne sprawia, że nieważne staje się ważne, bo nieważne też jest i też chce mieć prawo głosu, bierne uczestnictwo w nazizmie dla kariery, drobne codzienne denuncjacje, mniej obciążony z biednym dzieciństwem i niewielkimi szansami w życiu (ale wówczas, co tu oznacza przed, widział jedną, prawdziwą, niepowtarzalną szansę!), pojawia się, bo jest opisywane przez Dagermana, który widzi wszystko, co jest do zobaczenia, ale zabiera ze sobą także to, czego nie widać, bo nic nie jest nieważne, nic nie jest zbyt nieważne, żeby zrodzić ważne, bo nieważne definiuje ważne. Gdyby nie było takich piszących-opisujących jak Dagerman, nie wiedzielibyśmy może nawet, że świat ma coś w środku, nie moglibyśmy go zrozumieć. A jeśli nie rozumie się świata, nie rozumie się też tego, co jest, i czym w ogóle jest istnienie. Najczęściej i tak jest niewiele warte. Więcej wart może być worek ziemniaków, bochenek chleba. Bez tych znaków na papierze, które tu dostajemy, zostalibyśmy sami, nie mogąc w żaden sposób odnosić jednego do drugiego, wygnani ze świata. Nie wiedzielibyśmy, dokąd pójść, bo nie mielibyśmy drogowskazów i usunięto by nas z drogi.

Elfriede Jelinek

Przełożyła Elżbieta Kalinowska

Niemiecka jesień

Od słynnego przemówienia Churchilla zapowiadającego zwycięstwo, gdy opadną liście z drzew, niemieckie liście opadły już trzeci raz. Jesień 1946 roku była ponura, deszczowa i chłodna, w Zagłębiu Ruhry panował głód i kryzys, a w pozostałych częściach dawnej Trzeciej Rzeszy głód bez kryzysu. Do stref zachodnich przez całą jesień przybywały pociągi z uchodźcami ze wschodu. Obdarci, głodni i niechciani, gnieździli się w ciemnych cuchnących barakach kolejowych lub w wysokich pozbawionych okien olbrzymich bunkrach o wyglądzie czworokątnych zbiorników gazu, wznoszących się jak potężne pomniki klęski w zrujnowanych niemieckich miastach. Ci ludzie, pozornie niewiele znaczący, mimo milczenia i biernej uległości nadali owej jesieni koloryt ciemnej goryczy. Nabrali znaczenia nie tylko przez to, że wciąż przyjeżdżali i przyjeżdżali, lecz również przez swoją liczebność. Nie mimo milczenia, ale właśnie z jego powodu, gdyż nic, co jest wypowiedziane, nie zawiera w sobie takiego ładunku zagrożenia, jak to, czego się nie ujmuje w słowa. Ich obecność była nienawistna i zarazem mile widziana, nienawistna, gdyż nowo przybyli nie przywozili ze sobą niczego poza głodem i pragnieniem, mile widziana, gdyż dostarczała pożywki do podejrzeń, które chętnie żywiono, i zwątpienia, któremu się chętnie poddawano.

Zresztą każdy, kto przeżył ową niemiecką jesień, musiał przyznać, że nieufność była uzasadniona, a przygnębienie zrozumiałe. Nie ulega wątpliwości, że niekończące się chmury uchodźców, zalewające niemieckie niziny od dolnego Renu i Łaby do wietrznego płaskowyżu wokół Monachium, stanowiły najważniejsze zagadnienie w polityce wewnętrznej kraju, który takowej nie posiadał. Drugim równie ważnym problemem wewnętrznym był deszcz, który zalewał zamieszkane piwnice w Zagłębiu Ruhry do wysokości dwóch stóp.

(Człowiek się budzi, jeśli w ogóle zmrużył oko w zimnym łóżku bez przykrycia, i brodząc w wodzie powyżej kostek, usiłuje rozpalić ogień kilkoma wilgotnymi gałęziami ze zbombardowanego drzewa. Gdzieś z tyłu, w wodzie, słychać dorosły gruźliczy kaszel dziecka. Gdy uda się w końcu rozniecić ogień w piecyku wydobytym z narażeniem życia z walącej się ruiny, pod którą już od kilku lat leży pogrzebany jego właściciel, piwnica napęlnia się dymem i kaszlący kaszlą jeszcze bardziej. Na płycie stoi garnek z wodą - wody jest tu pod dostatkiem - człowiek schyla się i wyławia kilka ziemniaków leżących na niewidocznej podłodze. Stojąc w wodzie powyżej kostek, wkłada ziemniaki do garnka i czeka, aż staną się jadalne, mimo że już od początku były zmarznięte).

Lekarze, którzy opowiadają zagranicznym korespondentom, jak żywią się całe rodziny, twierdzą, że trudno opisać, co ludzie wkładają do garnka. Ale i to, tak samo jak ich egzystencję, da się opisać. Mięso niewiadomego pochodzenia, które w ten czy inny sposób udaje im się zdobyć, lub brudne jarzyny, Bóg jeden wie skąd wzięte, można opisać, są nad wyraz nieapetyczne, ale nieapetyczne daje się opisać. To samo dotyczy twierdzenia, że nie da się opisać, jak cierpią dzieci mieszkające w owych basenach. Jeśli się tylko chce, można to zrobić znakomicie, na przykład tak: ktoś, kto stoi w wodzie przy piecyku, zostawia go na pastwę losu, podchodzi do łóżka z trójką kaszlących dzieci i każe im natychmiast zbierać się do szkoły. W zadymionej piwnicy jest zimno i głodno, dzieci, które spały w ubraniu, idą w wodzie sięgającej niemal cholewek zniszczonych butów przez piwniczny korytarz, gdzie śpią ludzie, po ciemnych schodach, na których śpią ludzie, i wychodzą na dwór, gdzie panuje wilgotna niemiecka jesień. Do rozpoczęcia szkoły pozostały dwie godziny i nauczyciele opowiadają przyjezdnym cudzoziemcom o nielitościwych rodzicach wypędzających dzieci na ulicę. Można by jednak zapytać nauczycieli, co w tym przypadku oznacza litościwość. Pewien nazistowski aforyzm mówił, że litościwość kata polega na szybkim, a może pewnym ciosie. Litościwość rodziców wygania dzieci ze stojącej w domu wody na deszcz, z przejmującej piwnicznej wilgoci w uliczną szarugę.

Rzecz jasna, nie idą do szkoły, nie tylko dlatego, że szkoła jest zamknięta, ale również dlatego, że „zbierajcie się do szkoły” to eufemizm, jeden z wielu stworzonych przez ubóstwo na użytek tych, którzy muszą się posługiwać jego językiem. Wychodzą z domu, żeby kraść lub zdobyć coś do jedzenia, uciekając się do kradzieży albo jakimś bardziej niewinnym sposobem, jeżeli takowy istnieje. Można by opisać „nieopisaną” poranną wędrówkę trójki dzieci trwającą aż do rzeczywistego otwarcia szkoły, a potem wywołać ciąg „nieopisanych” obrazów z ich pobytu w klasie, gdzie szkolne tablice zamykające otwory okienne chronią przed napływem zimnego powietrza, zasłaniając przy tym dzieńne światło, w związku z czym przez cały dzień pali się lampa, a jej światło jest tak słabe, że z największym trudem można odcyfrować tekst na tablicy; widok ze szkolnego podwórka, otoczonego z trzech stron wysokimi na trzy metry zwałami ruin, które to ruiny służą jako szkolne ubikacje.

Jednocześnie wypadaloby opisać „nieopisane” życie tych, którzy spędzają dzień w domu, w wodzie, albo „nieopisane” uczucia przepełniające matkę trojga dzieci, kiedy pytają ją, dlaczego nie umaluje się jak pani Schulze, żeby potem dostać czekoladę i konserwy od alianckiego żołnierza. A szczerść i upadek moralny w zalanej wodą piwnicy są „nieopisane”, więc matka odpowiada, że nawet żołnierze wyzwolenczej armii nie są aż tak litościwi, żeby polaszczyć się na niedomyte, wycieńczone, szybko starzejące się ciało, kiedy w mieście jest

mnóstwo ciał młodszych, silniejszych i bardziej zadbanych.

Nie ulega wątpliwości, że owe piwnice były tej jesieni sprawą największej politycznej wagi. Druga taka sprawa to zieleniące się w ruinach Dusseldorfu i Hamburga trawa, krzaki i mech. (Pan Schumann już trzeci rok mija w drodze do banku pobliskie ruiny i dzień w dzień spiera się z żoną i kolegami z pracy, czy zieleń jest oznaką postępu, czy regresu). Dwa inne łatwo dostrzegalne zjawiska, które odcisnęły piętno na owej niemieckiej jesieni, to blade twarze ludzi mieszkających już czwarty rok w bunkrach, jak ryby wynurzające się na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza, oraz zdumiewająco czerwone twarze niektórych dziewcząt, obdarowywanych kilka razy w miesiącu czekoladą, pudełkiem chesterfieldów, wiecznymi piórami i mydłem. Tak było również ubiegłej zimy, wiosną i latem, aczkolwiek w mniejszym stopniu, gdyż sytuacja pogarszała się za sprawą nieprzerwanie napływających uchodźców ze wschodu.

Jak wiadomo, wyliczanki są nudne, zwłaszcza jeżeli dotyczą nudnych kwestii, jednak w szczególnych przypadkach wyliczanie wydaje się niezbędne. Aby zrozumieć nastrój rozgoryczenia wobec aliantów połączony z pogardą dla siebie, apatię i ogólną skłonność do porównań na niekorzyść obecnego stanu rzeczy, co tej ponurej jesieni z pewnością uderzało przybyśza z zewnątrz, trzeba mieć na uwadze wiele konkretnych okoliczności. Nie należy zapominać, że wypowiedzi świadczące o niezadowoleniu, czy wręcz nieufności do zwycięskich mocarstw nie padały w próżni ani ze sceny teatru o ideologicznym profilu, lecz z rzeczywistych piwnic w Essen, Hamburgu czy Frankfurcie nad Menem.

W jesiennym obrazie rodziny w zalanej wodą piwnicy jest miejsce również dla dziennikarza, który ostrożnie łapiąc równowagę na rozłożonych deskach, przeprowadza wywiad z członkami rodziny na temat nowo powstałej niemieckiej demokracji, ich oczekiwań i marzeń - a przede wszystkim pyta, czy było im lepiej za Hitlera. Usłyszawszy odpowiedź, składa ukłon pełen wściekłości, odrazy i pogardy, wycofuje się pospiesznie z cuchnącego pomieszczenia i zajmuje miejsce w wynajętym angielskim aucie lub amerykańskim jeepie i po półgodzinie, sącząc drinka lub pijąc dobre niemieckie piwo w hotelowym barze, przelewa na papier dywagacje pod tytułem *Niemiecki nazizm wciąż żyje*.

Opinia puszczone w świat przez tego i wielu innych dziennikarzy oraz zagranicznych przybyśzy o nastrojach w Niemczech owej trzeciej jesieni jest, rzecz jasna, na swój sposób prawdziwa. W rezultacie świat uznał ją za swoją. Pytano Niemców w piwnicy, czy było im lepiej za Hitlera, a oni odpowiadali: tak. Jeśli zapytać tonącego, czy było mu lepiej, gdy stał na brzegu, tonący odpowie: tak. Jeśli zapytać kogoś, kto głoduje, jedząc dwie kromki chleba dziennie, czy było mu lepiej, kiedy głodował przy pięciu kromkach, na pewno usłyszy się to

samo. Każda analiza niemieckich poglądów przeprowadzona tamtej ciężkiej jesieni - której czasowe granice należy oczywiście przesunąć do chwili obecnej [1947], ponieważ nadal występują te same ostre przejawy biedy i niedostatku - będzie głęboko nieprawdziwa, o ile nie potrafi utrwalić zarazem obrazu środowiska, sposobu życia, na jaki skazani są ci, o których mowa. Renomowany francuski dziennikarz radził mi z czystej życzliwości, w imię obiektywizmu, bym czytał niemieckie gazety, zamiast chodzić po niemieckich mieszkaniach i zaglądać do niemieckich garnków. Zdaje się, że znaczna część światowej opinii publicznej podziela to przekonanie, dlatego żydowski wydawca pan Gollancz z Londynu oświadczył po podróży do Niemiec jesienią 1946 roku, że „wartości świata zachodniego są w niebezpieczeństwie” - wartości oparte na szacunku dla ludzkiej osoby, nawet jeżeli straciła ona prawo do naszej sympatii i współczucia, to znaczy naszej zdolności do reagowania na cierpienie, zawinione lub nie.

Nieraz słychać opinie, że przedtem żyło się lepiej, lecz nie bierzemy pod uwagę sytuacji życiowej tego, kto je wypowiada, i słuchamy ich, jak gdyby płynęły z eteru. Nazywamy to bezstronnością, jako że nie potrafimy sobie owej sytuacji wyobrazić, co więcej, z przyczyn natury moralnej byłibyśmy skłonni takowe wyobrażenie odrzucić, gdyż mogłoby wywołać niestosowne współczucie. Analizujemy; w rzeczywistości jednak analizowanie opcji politycznej człowieka głodnego, bez przeprowadzenia analizy samego głodu, jest tylko wymuszeniem.

Nie ulega wątpliwości, że ocena okrucieństw, których dopuścili się Niemcy w Niemczech i poza ich granicami, musi być jednoznaczna, gdyż okrucieństwo, bez względu na to, w jaki sposób i przez kogo zostało popełnione, musi być ocenione jednoznacznie. Inna sprawa, czy słuszne jest postrzeganie niemieckiego cierpienia, które między innymi opisuje niniejsza książka, jako nieuchronnej i naturalnej konsekwencji klęski poniesionej w wojnie zaborczej.

Z punktu widzenia prawa takie podejście jest w najwyższym stopniu błędne, gdyż w przeciwieństwie do niemieckich okrucieństw niemiecka nędza jest powszechna. Co więcej, kodeks prawny nie przewiduje kar w postaci głodu i zimna, z tej samej przyczyny, z jakiej nie karze torturami i biciem, zaś wyrok wydany z pobudek moralnych, skazujący oskarżonych na nieludzkie bytowanie, czyli takie, które narusza ludzką godność, zamiast ją potwierdzać - co powinno być niesformulowanym wprost celem ziemskiej sprawiedliwości - sam podważa swoje prawo do istnienia.

Dla samej zasady winy i odpłaty można by znaleźć cień usprawiedliwienia, gdyby sądzący wyznawali zasady całkowicie odmienne od tych, które spowodowały, że większość

Niemców czuła się tamtej jesieni jak w zimnym deszczowym piekle. Tak jednak nie jest: powszechne oskarżenie niemieckiego narodu dotyczy w istocie posłuszeństwa *ad absurdum*, posłuszeństwa nawet w przypadku, gdy nieposłuszeństwo byłoby jedynym zachowaniem godnym człowieka. Ale czy w gruncie rzeczy takie posłuszeństwo nie jest typowe dla stosunków jednostki z władzą we wszystkich krajach na świecie? Nawet w państwach bardzo łagodnego przymusu nie da się uniknąć sytuacji, kiedy obywatelski obowiązek posłuszeństwa wobec państwa koliduje z obowiązkiem miłości lub szacunku dla drugiego człowieka (komornik, który wyrzuca na ulicę meble rodziny, oficer, który pozwala na śmierć podwładnego w walce wcale go nie dotyczącej). Na dobrą sprawę istotą rzeczy jest zgoda na przymus posłuszeństwa. Gdy raz damy na to przyzwolenie, okaże się wkrótce, że państwo żądające posłuszeństwa posiada środki, aby je wymusić w najbardziej odrażających sytuacjach. Posłuszeństwo wobec państwa jest niepodzielne.

Dlatego też dziennikarz, który wycofał się z przepełnionej wodą piwnicy w Zagłębiu Ruhry, jeżeli jego reakcję spowodowały świadome moralne zasady, jest osobą niemoralną, obłudnikiem. Uważa się za realistę, ale nikt nie jest mniejszym realistą niż on. Usłyszał na własne uszy, jak wygłodzona rodzina przyznała, że było jej lepiej za Hitlera. Kiedy usłyszał to samo z ust wielu innych rodzin w wielu innych, może nieco lepszych piwnicach lub pomieszczeniach, doszedł do wniosku, że naród niemiecki jest w dalszym ciągu zainfekowany nazizmem. Jego brak realizmu polega na tym, że traktuje Niemców jak promieniujący nazistowskim chłodem monolit, a nie jak zbiorowisko głodnych i przemarzniętych ludzi. Szczególnie oburza go odpowiedź na nieprecyzyjne pytanie, gdyż jego zdaniem ludzie z piwnic powinni wyciągać polityczną naukę z piwnicznej wilgoci, gruźlicy, braku odzienia, żywności i ogrzewania. Główny sens tej nauki zawiera się w tym, że polityka Hitlera i ich w niej udział, który umożliwił jej realizację, zrujnowały im życie i tym samym strąciły do zalanych wodą piwnic. Przyjmując, że taka jest prawda, samo postawienie problemu wskazuje na brak realizmu i niezajomość mechanizmów psychologicznych.

Od ludzi, którzy dopiero co przecierpieli tę niemiecką jesień, żądano, by swoją niedolę traktowali jak naukę. Zapomniano, że głód jest bardzo złym nauczycielem. Ktoś naprawdę głodny i całkowicie bezradny nie wini za to, że głoduje, siebie, lecz tych, od których, jak sądzi, powinien oczekiwać pomocy. Głód nie pobudza również do analizowania związku przyczynowego - człowiek nieustannie głodny widzi jedynie związek, który ma pod ręką, co w tym przypadku oznacza, że wini tych, którzy obalwszy reżim zapewniający mu wyżywienie, nie są w stanie zapewnić mu warunków, w jakich żył przedtem.

Nie jest to oczywiście moralny sposób rozumowania, ale głód nie ma nic wspólnego z moralnością. „*Erst kommt das Fressen, dann die Moral*”¹. *Operę za trzy grosze* wystawiano jesienią w wielu miejscach w Niemczech i przyjmowano ją z zachwytem, lecz innego rodzaju niż kiedyś: to, co dawniej było zjadliwą krytyką społeczną, apelem o społeczną odpowiedzialność, sformułowanym z diabelską przenikliwością, przerodziło się w apologię nieodpowiedzialności.

Równie marnym pedagogiem jest wojna. Kiedy zapytać Niemca z piwnicy, jaką naukę wyniósł z wojny, nie usłyszymy niestety, że nauczyła go nienawiści i pogardy dla reżimu, który ją wywołał, a to z tej prostej przyczyny, że życie w śmiertelnym niebezpieczeństwie może nauczyć najwyżej dwóch rzeczy: strachu i umierania.

Jednym słowem położenie, w jakim znajdował się niemiecki naród jesienią 1946 roku, nie dostarczało przybyszowi z zewnątrz moralnych przesłanek do wyciągania jakichkolwiek wniosków na temat jego politycznych zapatrywań. Głód jest rodzajem braku równowagi, nie tylko fizycznej, ale również psychicznej, i pozostawia bardzo niewiele miejsca na głębszą refleksję. Dlatego też słyszeliśmy wiele rzeczy budzących niesmak, które mimo wszystko nie uprawniają nas w obecnej sytuacji do wydawania jednoznacznych ocen. Ja sam nie słyszałem nic bardziej odrażającego niż wypowiedź pewnego dyrektora banku w Hamburgu, którego zdaniem Norwedzy powinni być w gruncie rzeczy wdzięczni za niemiecką okupację, gdyż zyskali dużo nowych szlaków górskich!

Apatia i cynizm („...dann kommt die Moral”) cechowały reakcję na dwa najważniejsze polityczne wydarzenia: egzekucje w Norymberdze i pierwsze wolne wybory. W Hamburgu szare gromady ludzi stały przed tablicami, które obwieszczały wykonanie wyroków. Nikt nic nie mówił. Ludzie czytali i szli dalej. Ich twarze nie były nawet poważne, tylko obojętne. Co prawda piętnastego października do szkoły dla dziewcząt w Wuppertalu uczennice przyszły w czarnych strojach, na moście w Hanowerze ktoś w nocy wymalował wielkimi białymi literami „Norymberga tfu”, a przed plakatem na stacji U-Bahnu przedstawiającym bombardowanie jakiś mężczyzna chwycił mnie za rękaw i zasyczał: „Tych, którzy to zrobili, na pewno nie postawią przed sądem”. To jednak były tylko wyjątki potwierdzające niemiecką obojętność. W martwej ciszy Berlina dwudziesty dzień października, dzień narodzin wolnych wyborów, wyglądał jak każda inna martwa niedziela. Gromady milczących wyborców nie okazywały nawet cienia entuzjazmu czy radości.

Przez całą jesień w różnych regionach Niemiec odbywały się wybory. Udział w nich był wprawdzie liczny, lecz aktywność polityczna ograniczała się do oddania głosu. Ze względu na panującą sytuację należy rezultat wyborów traktować z największą ostrożnością.

Zwycięstwo socjaldemokratów i klęska komunistów - dwa bezsporne fakty, bynajmniej nie są tak jednoznaczne jak w normalnie funkcjonującym społeczeństwie. Wyborcza propaganda socjaldemokratów kładła główny nacisk na problemy polityki zagranicznej, to znaczy na Rosję, komunistyczna natomiast na sprawy wewnętrzne, to znaczy chleb. Jako że warunki w piwnicach były takie a nie inne, twierdzenie, że rezultat wyborów świadczy o demokratycznym instynkcie Niemców, jest błędne, dowodzi raczej, że strach był najwyraźniej silniejszy od głodu.

Błędem jest również wyciąganie ogólnych wniosków z gorzkich słów dobiegających z niemieckich piwnic, jakoby Niemcy byli przesiąknięci nazistowską ideologią, tak samo jak nietrafne jest zapewne używanie pojęcia demokracji na podstawie wyniku jesiennych wyborów. Człowiek żyjący na granicy głodu nie walczy w pierwszej kolejności o demokrację, lecz o to, by znaleźć się jak najdalej od tej granicy. Powstaje wręcz pytanie, czy wolne wybory nie odbyły się zbyt wcześnie. W każdym razie jako lekcja demokracji okazały się nieskuteczne, bo na przeszkodzie stanęło wiele ważnych negatywnych zjawisk w polityce zagranicznej: ograniczone możliwości działania niemieckich polityków wywołały nieufność sceptyków, przekonanych, że wybory były taktyczną zagrywką aliantów w celu przerzucenia odpowiedzialności za ich budzącą powszechną niechęć politykę zaopatrzenia na władze niemieckie. Warunkiem demokracji nie były wolne wybory, lecz poprawa zaopatrzenia, życie z nadzieją. Wszystko, co odbierało nadzieję: zmniejszone racje żywnościowe, przy rzucającym się w oczy dobrobycie alianckich żołnierzy; niechlujny demontaż zakładów przemysłowych - widok zarekwirowanych maszyn rdzewiejących na jesiennym deszczu; sposób, w jaki wysiedlono pięć niemieckich rodzin, aby zrobić miejsce dla jednej alianckiej; a zwłaszcza metoda likwidacji militarystyki przez władze wojskowe, próba wzbudzenia pogardy dla niemieckiego munduru w kraju, gdzie roiło się od umundurowanych aliantów - wszystko to wyjałowiało glebę dla kiełkującej demokracji, zamiast ją wzbogacać.

Dziennikarz, który wycofał się jesienią z piwnicy, powinien zatem okazać większą pokorę, pokorę wobec cierpienia, nawet zawinionego, jako że cierpienie zawinione jest równie dotkliwe jak niezawinione, tak samo odczuwalne w żołądku, piersi i stopach, i ten w trzech miejscach ulokowany ból powinniśmy mieć w pamięci w obliczu wrogiego podmuchu goryczy unoszącego się w deszczowej, powojennej niemieckiej jesieni.

Ruiny

Kiedy zawodzą wszelkie pociechy, trzeba pocieszać się w inny sposób, nawet cokolwiek absurdalny. Mieszkańcy niemieckich miast często szukają u przyjezdnych potwierdzenia, że właśnie ich miasto zostało spalone, zrujnowane i zrównane z ziemią jak żadne inne. Nie chodzi tu o pociechę w rozpacz - pociechą staje się sama rozpacz. Ci ludzie markotnieją, usłyszawszy od przybysza, że widział już gorsze rzeczy. I może nie powinno się tego mówić; każde niemieckie miasto jest najgorsze, jeżeli trzeba w nim mieszkać.

Berlin ma amputowane kościelne wieże i niekończące się szeregi roztrzaskanych rządowych pałaców, greckie profile świątyn pruskich kolumnad spoczywają na trotuarach. Przed budynkiem dworca w Hanowerze król Ernest August siedzi na ostatnim tłustym koniu w całych Niemczech, praktycznie jedynym, który się ostał w mieście, gdzie mieszkało niegdyś czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Essen straszy upiornym widokiem nagich, marznących żelaznych konstrukcji i rozszarpanych fabrycznych murów.

W Kolonii trzy mosty na Renie zawaliły się już dwa lata temu, a katedra stoi ponuro i samotnie pośrodku zwałów ruin z raną ze świeżej czerwonej cegły w boku, która o zmierzchu wygląda, jakby krwawiła. Małe, złowrogie, średniowieczne wieże zapadły się w fosy Norymbergi, a w miasteczkach Nadrenii sterczą żebra zbombardowanych szachulcowych domów. Ale jest miasto, które pobiera opłatę za pokazywanie swojej ruiny: ocalały Heidelberg, gdzie piękne ruiny starego zamku robią wrażenie jakiejś szatańskiej parodii.

Poza tym wszędzie jest najgorzej - no, prawie. Dla kogoś, kto gustuje w rekordach, kto pragnie być ekspertem od ruin, zdobyć próbkę wszystkiego, co ma do zaoferowania pod tym względem miasto zrównane z ziemią, kto chce zobaczyć nie samo miasto ruin, lecz ich krajobraz, bardziej bezludny niż pustynia, bardziej dziki niż góry i równie nierzeczywisty jak senny koszmar, znajdzie to chyba tylko w jednym mieście - Hamburgu.

Jest taka część Hamburga, dawniej dzielnica prostych szerokich ulic, placów i skwerów, pięciopiętrowych domów z trawnikiem z frontu, garaży, knajp, kościołów i publicznych szaletów. Zaczyna się przy stacji podmiejskiej kolejki i ciągnie się jeszcze kawałek za następną stacją.

Piętnastominutowa jazda kolejką to nieprzerwany widok na coś w rodzaju gigantycznego wysypiska śmieci: zburzone fasady, samotne ściany domów z pustymi otworami okien, wybałuszające szeroko otwarte oczy na przejeżdżające wagony, osmalone pożarem nieokreślone resztki budynków, wysokie i śmiało rzeźbione, jak pomniki

zwycięstwa, lub małe, jak średniej wielkości kamienie nagrobne.

Ze zwałów gruzu sterczą zardzewiałe belki, jak maszty dawno zatopionych okrętów. Metrowej długości smukłe kolumny, zrzędzeniem losu artystycznie wycięte z zawalonych budynków, wznoszą się nad białymi stertami roztrzaskanych wanien lub szarymi stosami kamieni, skruszonej cegły i wypalonych kaloryferów. Łagodnie potraktowane fasady, za którymi nic się nie kryje, tkwią w miejscu niczym dekoracje na scenach nigdy niepowstałych teatrów.

W tym trwającym trzy lata wariacie Guerniki i Coventry odnajdujemy wszelkie geometryczne wzory: regularne kwadraty szkolnych ścian, małe lub większe trójkąty, romby i owale zewnętrznych murów dużych kamienic czynszowych, które jeszcze wiosną 1943 roku wznosiły się między stacjami Hasselbrook i Landwehr.

Kolejka jadąca z normalną prędkością przemierza to rozległe pustkowie w ciągu kwadransa i przez ten czas ani ja, ani mój milczący cicerone nie dostrzeżliśmy przez okno żywej duszy w niegdyś najgęściej zaludnionej części Hamburga. Wagony są przepełnione, jak we wszystkich niemieckich pociągach, ale nikt poza nami nie patrzy przez okno i nie ogląda najbardziej może przerażającego obszaru ruin w Europie, lecz kiedy podnoszę wzrok, spotykam spojrzenia, które mówią: „Ten człowiek nie jest stąd”.

Obcego zdradza natychmiast zainteresowanie ruinami. Trzeba czasu, żeby wyrobić w sobie odporność, ale to się udaje. Mojej przewodniczce udało się to już dawno, lecz ona interesuje się księżycowym krajobrazem między Hasselbrook i Landwehr ze względów osobistych. Mieszkała tam sześć lat i teraz jest tu pierwszy raz od czasu, kiedy pewnej kwietniowej nocy 1943 roku fala bombardowań przeszła nad Hamburgiem.

Wysiadamy w Landwehr. Sądziłem, że będziemy jedynymi wysiadającymi, ale nie. Inni też mają powód, żeby tu przyjechać, są ludzie, którzy tu mieszkają, chociaż z pociągu tego nie widać. Zresztą ledwie to widać z ulicy. Idziemy przez chwilę po byłych chodnikach byłych ulic i szukamy byłego domu, którego nie znajdujemy. Omijamy płataninę czegoś, co przy bliższych oględzinach okazuje się samochodami - spalone leżą na grzbiecie na gruzowisku. Przez puste otwory w zniszczonych domach widać wijące się wzdłuż piętér belki, skręcone jak serpentyny. Potykamy się o rury kanalizacyjne, które wypelzają z ruin. Zatrzymujemy się przed domem z wyrwaną ścianą frontową, jak w popularnych sztukach teatralnych, gdzie widz może oglądać życie toczące się na kilku planach równocześnie.

Tu jednak próżno szukać jakiegokolwiek śladu ludzkiego życia. Jedynie kaloryfery wczepiają się jeszcze w ściany niczym duże, przerażone zwierzęta, poza tym wszystko, co mogło się palić, spłonęło. Dziś nie ma wiatru, lecz kiedy wieje, gwizdże w kaloryferach i

martwa cisza byłej dzielnicy wypełnia się osobliwym dudniącym odgłosem. Zdarza się wtedy, że kaloryfery odpadają, lecą w dół i zabijają kogoś, kto przetrząsa wnętrzności ruin w poszukiwaniu węgla.

Poszukiwanie węgla - to jeden z powodów, dla którego ludzie wysiadają z pociągu w Landwehr. Mając świadomość utraty Śląska, perspektywę utraty Zagłębia Saary i mocno niepewną przyszłość Zagłębia Ruhry, Niemcy z sarkazmem mówią o ruinach jako jedynych niemieckich kopalniach węgla.

Osoba, z którą szukam nieistniejącego domu, pozbawiona jest tego sarkazmu. To niemiecka pół-Żydówka i przetrwała terror oraz wojnę, starając się być jak najmniej widoczna. Była w Hiszpanii, gdzie po zwycięstwie Franco nie mogła dłużej zostać, i musiała wracać do Niemiec. Mieszkała w pobliżu Landwehr, dopóki na jej dom nie spadły angielskie bomby. Jest kobietą pełną goryczy, bo straciła cały dobytek podczas bombardowania Hamburga, a wiarę i nadzieję po zbombardowaniu Guerniki.

Przemierzamy olbrzymie, bezładne cmentarzysko, na którym trudno się rozeznąć, bo nic nie różni jednego zburzonego budynku od drugiego. Na jednej z ocalałych ścian wisi tablica z nazwą ulicy, jak na urągowisko, z całego domu przetrwała jedynie brama zwieńczona bezsensownym numerem. Zasypane gruzem szyldy byłych sklepów z owocami lub mięsem wyrastają jak napisy nagrobne, lecz w piwnicy pobliskiego domu rozbłyska nagle światło.

Dotarliśmy do okolicy, w której szczęśliwym trafem ocalały piwnice. Domy się zawaliły, lecz strop piwnicy wytrzymał i stał się dachem nad głową dla setek rodzin. Zaglądamy przez małe okna do ciasnych pomieszczeń o nagich betonowych ścianach, z piecykiem, łóżkiem, stołem i w najlepszym razie krzesłem pośrodku.

Na podłodze bawią się dzieci, na piecyku stoi garnek. Powyżej wśród ruin powiewa białe dziecięce pranie, rozwieszona na linie rozpiętej między wykrzywioną rurą kanalizacyjną i zwaloną żelazną belką. Przed oknem piwnicy stoją puste wózki dziecięce.

W podziemiu ruiny zainstalował się również dentysta i powstało kilka sklepików spożywczych. Na każdym wolnym skrawku ziemi uprawia się czerwoną kapustę.

- Niemcy to mimo wszystko zdolny naród - mówi mój cicerone i milknie.

Mimo wszystko. To brzmi tak, jakby nad tym ubolewała.

Trochę dalej stoi angielska ciężarówka z terkoczącym silnikiem. Wysiadło z niej kilku angielskich żołnierzy i przykucnięci gawędzą z małymi dziećmi.

- Anglicy są mimo wszystko dobrzy dla dzieci - mówi wtedy.

To brzmi tak, jakby i nad tym ubolewała.

Kiedy jednak wyrażam jej współczucie z powodu utraty domu, jest jedną z niewielu osób, które mówią:

- Wszystko się zaczęło w Coventry.

Replika niemal zbyt klasyczna, aby brzmiała szczerze, lecz w jej przypadku jest szczerza. Ona wie o wszystkim, co zdarzyło się w czasie wojny, i mimo to, a może właśnie dlatego, jej przypadek jest tak tragiczny.

W Niemczech istnieje mianowicie duża grupa uczciwych antyfaszystów, bardziej rozgoryczonych, osamotnionych i przegranych niż jakikolwiek poplecznik nazizmu - rozgoryczonych, bo wyzwolenie nie przebiegło tak radykalnie, jak się spodziewali, osamotnionych, bo nie chcą się solidaryzować ani z niemieckim niezadowoleniem, w którego elementach wietrzą zbyt wiele śladów skrywanego nazizmu, ani z polityką aliantów, których ustępstwom na rzecz byłych nazistów przyglądają się z niesmakiem, i wreszcie przegranych, gdyż wątpią, aby jako Niemcy dostali jakiegokolwiek udziału w zwycięstwie aliantów, a nie są też przekonani, że jako antynaziści nie mają żadnych udziałów w niemieckiej klęsce. Skazali się dobrowolnie na całkowitą pasywność, ponieważ aktywność oznacza współpracę z podejrzanym światem, którego nauczyli się nienawidzić przez dwanaście lat tyranii.

Ci ludzie to najpiękniejsze niemieckie ruiny, lecz na razie tak samo nie do zamieszkania jak zawalone domy między Hasselbrook i Landwehr, gdzie w wilgotnym zmierzchu czuć ostry i cierpki zapach wygasłych pożarów.

Zbombardowany cmentarz

Mężczyzna na moście w Hamburgu sprzedaje małe praktyczne urządzenie, które mocuje się do noża przy obieraniu ziemniaków. Odstawia prawdziwy teatr, demonstrując cieniutkie obierzyny uzyskane dzięki nowemu wynalazkowi, i wszyscy, którzy stali przy poręczy mostu, obserwując płynące w górę kanału ciężkie czarne barki wypełnione gruzem, gromadzą się naokoło niego. Nawet w Hamburgu nie można się najeść dowcipami na temat głodu, lecz śmiech daje przyjemną formę zapomnienia, której żyjący w niedostatku Niemcy rzadko sobie odmawiają.

Sprzedawca na moście demonstruje w jesiennym słońcu swój mały ziemniak i mówi, że przy obecnych racjach żywności obieranie ziemniaków jest niewątpliwie żmudnym zajęciem, ale... Ma ten sam rodzaj poczucia humoru co pobliski handlarz ryb, który umieszcza widoczny, pałający oburzeniem napis na wystawie: „Kto widział, żeby zwiększać przydział ryb teraz, kiedy są taaakie trudności z papierem do pakowania”. Sprzedawca zyskał śmiejących się słuchaczy, ale jeszcze nie zdobył klientów.

Na końcu mostu jest przystanek tramwajowy. Na platformę wchodzi właśnie drobna kobiecina z wielkim workiem kartofli i w tym momencie tramwaj rusza. Worek się wywraca, sznurek puszcza, kobieta krzyczy w przejeżdżającym obok nas wagonie, a ziemniaki dudnią o ziemię. Otaczający sprzedawcę ludzie gwałtownie się rzucają, i kiedy tramwaj znika, sprzedawca stoi prawie sam przy balustradzie mostu, a jego publiczność przepycha się między trąbiącymi wojskowymi pojazdami Anglików i volkswagenami pomalowanymi na ochronny kolor. Szkolna młodzież napycha teczki, robotnicy wypełniają kieszenie, gospodynie domowe otwierają torebki, żeby włożyć do nich najbardziej pożądane warzywo w Niemczech - i dwie minuty później znów wszyscy stoją wokół sprzedawcy wynalazku, dzięki któremu można uzyskać najcieńszą obierzynę w Niemczech, roześmiani i chętni do kupna. Te gwałtowne przejścia od gniewu do jowialności są niezwykle ujmujące u hamburczyków i zarazem stanowią przeszkodę w kontaktach z nimi.

Dlaczego Fräulein S. się nie śmieje? Schodząc z nią z mostu, pytam ją wprost, dlaczego się nie śmiała. Zamiast odpowiedzi mówi z goryczą:

- To są dzisiejsze Niemcy: narażać życie dla ziemniaka.

W gruncie rzeczy to reakcja, jakiej można się po niej spodziewać: nie będzie się śmiała z nędzy na ulicach Hamburga. Fräulein S. została po upadku Rzeszy urzędniczką w hamburskim urzędzie pracy, lecz wcześniej była właścicielką sklepu rybnego, który spłonął

podczas burzy ogniowej w 1943 roku. Teraz spędza dwie godziny dziennie na inspekcji zrujnowanego okręgu, sprawdza, czy wszyscy zdolni do pracy mają zajęcie, i czuwa nad tym, aby potrzebujący opieki otrzymali pomoc. Osoba, która przedstawiła mnie Fräulein S., powiedziała mi w zaufaniu, że jest ona jedną z wielu Niemców, którzy nie wiedząc o tym, są nazistami i byłoby śmiertelnie dotknięci, gdyby ktoś ośmielił się wspomnieć, że ich poglądy pokrywają się z poglądami nazistów. Fräulein S. uchodzi za osobę mocno zgorzkniałą, lecz równocześnie wdzięczną za pracę, która umożliwia jej podsycanie płomienia goryczy. Jest niewątpliwie przedsiębiorcza i pełna energii, a zarazem stanowi potwierdzenie tezy, którą głosi wielu antynazistów, choć naturalnie nie wszyscy: w dzisiejszych Niemczech gwarancją energii są podejrzane poglądy.

Ciekawa jest rozmowa o polityce z osobą, która nie zdaje sobie sprawy, że się o niej co nieco słyszało, szczególnie gdy jest Niemką i ponoć żywi pronazistowskie sympatie. Na jaką partię głosuje zatem taki człowiek? (Niedawno odbyły się w Hamburgu wybory komunalne).

Fräulein S. odpowiada bez chwili wahania. Dla niej istnieje tylko jedna partia, „naturalnie socjaldemokraci”, ale gdy chcę się dowiedzieć bliżej, dlaczego właśnie socjaldemokraci, nie potrafi, tak jak znaczny procent socjaldemokratycznych wyborców, podać żadnego racjonalnego argumentu. Fräulein S., tak jak cała rzesza Niemców o podobnych zapatrywaniach, wybrała partię, kierując się metodą eliminacji: cdu, chrześcijańscy demokraci, nie wchodzi w rachubę, ponieważ nie są religijni, komuniści odpadają ze względu na strach przed Rosjanami, partia liberalna jest zbyt nieliczna, aby odegrać jakąś rolę, konserwatywna za mało znana, pozostają socjaldemokraci, jeżeli w ogóle ma się głosować, więc jednak się głosuje, mimo twierdzenia, że wszystko jedno, kto wygra, bo kraj i tak jest okupowany.

Dochodzimy do otoczonego ruinami placu, sterczy tam oszczędzony przez bomby wysoki, samotny szyb windy. Kilku ludzi pracujących przy uprzątnięciu gruzu przetacza powoli niewielki wóz ze złomem i kamieniami i kiedy zbliżają się do ulicy, wyskakuje na nią zupełnie niepotrzebnie kobieta z czerwoną chorągiewką, aby zatrzymać nieistniejący ruch.

- Widzi pan, panie D... - powiada towarzysząca mi przemarznięta kobieta, biorąc mnie pod ramię - my, Niemcy, uważamy, że już najwyższy czas, żeby alianci przestali nas karać. Cokolwiek bowiem powiedziec o nas, Niemcach, cokolwiek nasi żołnierze robili w innych krajach, nie zasłużyliśmy na tak niewspółmierną karę.

- Karę? - zdziwiłem się. - Dlaczego uważa pani wasze położenie za karę?

- Bo zamiast lepiej, jest gorzej - odpowiada Fräulein S. - Czujemy się, jakbyśmy

spadali w dół, a do dna wciąż daleko.

Po czym cytuje popularną i co gorsza, dobrze udokumentowaną wypowiedź angielskiego kapitana, który na pytanie, dlaczego Anglicy nie dopuszczają do odbudowy dworców w Hamburgu, odpowiedział: „Dlaczego mielibyśmy wam, Niemcom, pomagać stanąć na nogi w ciągu trzech lat, jeżeli może to równie dobrze trwać lat trzydzieści?”.

Tymczasem dotarliśmy do dużego, ponurego i okaleczonego budynku, który wygląda jak rozpadający się gmach szkoły, lecz jest dawnym gestapowskim więzieniem. Klatka schodowa i toalety na podestach dyskretnie milczą na temat tego, co się tu działo nie dalej jak w ubiegłym roku. Idziemy po omacku długim ciemnym korytarzem wśród nieprzyjemnych zapachów. Fräulein S. puka nagle do wysokich żelaznych drzwi i wchodzimy do jednej ze wspólnych cel, obszernego pustego pomieszczenia z betonową podłogą i oknem niemal całkowicie zamurowanym ceglami. Z sufitu zwisa goła żarówka, oświetlając bezlitośnie trzy gumowe materace, piecyk dymiący kwaśnym zapachem wilgotnego drewna, przy nim drobną kobietę o wybladłej twarzy, mieszającą w garnku, a na łóżku małego chłopca obojętnie wpatrującego się w lampę.

Fräulein S. udaje, że szukamy rodziny o nazwisku Müller. Kobieta ledwie nas zauważyła. Nie odrywając oczu od garnka, mówi, że Hans nie może dzisiaj wyjść, bo nie ma butów.

- Ile was tu mieszka? - pyta Fräulein S., podchodząc i zaglądając do garnka.

- Dziewięcioro - odpowiada wycieńczona kobieta - ośmioro dzieci i ja. Wydaleni z Bawarii. Jesteśmy tu od lipca. W tym tygodniu udało się nam dostać drewno. W zeszłym tygodniu zdobyliśmy ziemniaki.

- Jak sobie dajecie radę?

- Ot tak - odpowiada kobieta i wyjmując łyżkę z garnka zmęczonym ruchem, wskazuje na ściany celi. Zaraz potem wraca do mieszania. Dym gryzie w oczy. Chłopiec, niemy i nieruchomy, wpatruje się w sufit. Kobieta nie zwraca na nas uwagi, kiedy wychodzimy.

Więzienie jest pełne ludzi ewakuowanych z Hamburga do Bawarii w 1943 roku i wydalonych przez bawarski rząd latem roku 1946. Wychodzimy na dwór i w głosie Fräulein S. słyszę jakby gorzką satysfakcję:

- Anglicy mogli przecież nam pomóc. Mieli okazję pokazać, czym jest demokracja, ale z niej nie skorzystali. Widzi pan, panie D., co innego gdybyśmy my, Niemcy, żyli w luksusie i dostatku w latach panowania Hitlera, ale byliśmy biedni, panie D. I czy nie straciliśmy wszystkiego: domu, rodziny, dobytku? Może pan myśli, że nie cierpieliśmy

podczas bombardowań?! Czy trzeba nas dalej karać, nie zostaliśmy już wystarczająco ukarani?

Wstępujemy do piwnicy znajdującej się pod warsztatem szewskim. W cuchnącym pomieszczeniu bez okien mieszkają trzy osoby i niemowlę. Przypominam sobie, co pewien mądry Niemiec powiedział na często podejmowany temat godnego pożałowania braku poczucia winy wśród cywilnej ludności - z żołnierzami jest w pewnym sensie inaczej. Nawet jeśli ludzie wiedzą, że wszystko zaczęło się w Coventry, to tam nie byli. Byli w Hamburgu, w Berlinie, Hanowerze i w Essen i tam przez trzy lata żyli w śmiertelnym strachu. Można ubolewać nad tym brakiem poczucia winy, nie trzeba go rozumieć, ale należy mieć w pamięci, że własne cierpienie przytępia wrażliwość na cierpienia innych.

Fräulein S. i ja kończymy dzień w dawnej szkolnej ubikacji w Altonie. Szkoła jest zburzona, lecz w ubikacji na podwórzu mieszka rodzina Niemców sudeckich z trojgiem dzieci. Mężczyzna wyszukuje w ruinach kawałki drutu i żyje z tego, że wyrabia z nich ozdobne przedmioty. Wewnątrz jest zdumiewająco schludnie, a radość mężczyzny, że wreszcie ma własne mieszkanie, jest wzruszająca. Opowiada bez fałszywego współczucia, jak się cieszył, kiedy w końcu przekonał poprzedniego lokatora do wyprowadzki. Wtedy ubikacja była jeszcze ubikacją i poprzednik skapitulował, kiedy w krótkim czasie jego matka, ojciec, żona i córka zmarli na gruźlicę w szkolnej ubikacji w Altonie.

Przed powrotem do Hamburga Fräulein S. prowadzi mnie na ulicę przebiegającą obok żydowskiego cmentarza. Cmentarz jest zbombardowany, kamienie nagrobne połamane i osmalone od dymu. W tle widać czarne mury okaleczonego kościoła. Grupka ludzi w czerni przykłęka przed świeżo usypanymi, ciemnymi mogiłami.

Fräulein S. mówi:

- To są Niemcy, panie D., zbombardowany cmentarz. Zawsze tu na chwilę przystaję.

Na małej ulicy w Altonie jestem świadkiem modlitwy, krótkiej chwili szczęścia człowieka dziękującego Bogu za to, że może żyć w piekle.

Lecz gdy odwracam się dyskretnie, by nie zakłócać jej gorzkiego szczęścia, mój wzrok pada na wielką płachtę rozpostartą na ścianie ruiny, gigantyczną reklamę *Wesołej wdówki*. Wdówka, owszem, ale wesoła?

Tort biedaka

W głębi zaniedbanego parku na peryferiach Hamburga mieszkają starszy adwokat o liberalnych poglądach i autor popularnych łotrzykowskich powieści. Park leży w części miasta, której jedynym oświetleniem są światła przejeżdżających angielskich samochodów. W panującym wokół mroku czuję dotyk niewidocznych ramion i słyszę słowa z niewidocznych ust, przychodzą mi na myśl przyprawiające o dreszcz niepokoju rady doświadczonych korespondentów z krajów alianckich, żeby nie chodzić po ciemnych ulicach Hamburga bez rewolweru. Park jest bardziej rozległy, niż się wydaje w świetle dnia, w końcu docieram jednak do bezpiecznych schodów, naciskam dzwonek i zostaję wpuszczony do obszernego, zamożnego mieszczańskiego holu ze stojakiem na parasole i służącą ze Śląska. Ścienny zegar, półki z metrami tomów ze złożonymi brzegami oprawnych w skórę, puszysty dywan, kryształowy żyrandol i skórzane fotele najwyraźniej nie zaznały bombardowań ani trudności mieszkaniowych. A oni sami, adwokat i pisarz?

Ulubionym sloganem burżuazyjnej propagandy jest twierdzenie, że klęska wojenna przyniosła zanik klas społecznych w Niemczech. Oskarża partie robotnicze o to, że w walce przeciwko burżuazyjnej opozycji za pałkę służy im fikcja. Naprawdę nie jest przypadkiem, że podczas jesiennych wyborów w 1946 roku ze szczególnym rozgoryczeniem głoszone hasła walki klasowej. Teoria o bezklasowym niemieckim społeczeństwie jest cyniczną przesadą. Po upadku Rzeszy różnice klasowe nie tylko się nie zatarły, lecz zaostrzyły jeszcze bardziej. Mieszczańscy ideolodzy myślą nędzę z bezklasowością, twierdząc, że wszyscy Niemcy znajdują się w równie oplakanej sytuacji ekonomicznej. Prawdą jest, w jakimś sensie, że większość Niemców żyje w biedzie, a ci, którzy kiedyś byli zamożni, stracili majątek, lecz różnica między najmniej biednymi i najbiedniejszymi w Niemczech jest większa niż różnica między bogatymi i biedakami w normalnie funkcjonującym społeczeństwie.

Podczas gdy najbiedniejsi mieszkają w piwnicach ruin, bunkrach lub odrapanych więziennych celach, a średnio biedni w ocalałych czynszowych kamienicach, gdzie na rodzinę przypada jeden pokój, to najmniej biedni rezydują w swych dawnych willach, jak liberalny adwokat, lub w największych mieszkaniach w mieście, na które nie stać nawet średnio biednych. Adwokat ma naturalnie rację, utrzymując, że angielskie bomby nie brały pod uwagę różnic klasowych, chociaż dzielnice willowe nie ucierpiały oczywiście w takim samym stopniu jak czynszowe kamienice, ale na obronę zwolenników walki klas należy powiedzieć, że konta bankowe nie zostały zniszczone przez bomby. Co prawda znajdujące się

na nich środki są częściowo zablokowane i nie można podejmować więcej niż dwieście marek miesięcznie, co jest niewielką sumą, stanowi bowiem równowartość czarnorynkowej ceny pół kilograma masła, lecz w imię sprawiedliwości należy zauważyć, że normalna pensja wynosi sto dwadzieścia marek miesięcznie, a pieniądze przechowywane w domu nie podlegają żadnej kontroli władz.

Następstwa tej sytuacji są zresztą całkowicie absurdalne, zdumiewające i niesprawiedliwe. W procesie denazyfikacji często zapada bowiem wyrok skazujący oskarżonego, byłego aktywistę, na utratę mieszkania i przyznający to mieszkanie politycznie prześladowanym w poprzednim systemie. Piękny gest, niestety nierzadko pusty, ponieważ dawne ofiary prześladowań plasują się gdzieś pomiędzy grupą średnio biednych i najbiedniejszych i nie stać ich na płacenie czynszu za duże mieszkania aktywistów, wobec czego mieszkania te przejmują ludzie z pieniędzmi, czyli tacy, którzy się dorobili na nazizmie.

Liberalny adwokat i jego przyjaciel autor łotrykowskich powieści nigdy nie byli nazistami. Adwokat należał przed 1933 rokiem do dawnej partii liberalnej, natomiast pisarz był jednym z niewielu popularnych autorów, którzy w czasach Hitlera woleli żyć z oszczędności, niż pisać. Popijamy herbatę bez cukru i jemy tort, który pod cienką warstwą fałszywej śmietany okazuje się zwykłym niesmacznym niemieckim chlebem, a spod srebrnej maski obojętności adwokata wyłania się zapamiętałe rozżalenie, zjawisko dość rzadkie w gorzko zobojętniałych Niemczech, w normalnych krajach przypisywane rozhisteryzowanej młodzieży. W niektórych mieszczańskich kręgach wśród mężczyzn w średnim wieku należy do dobrego powojennego tonu podkreślanie, że przez dwanaście lat było się jedną nogą w obozie koncentracyjnym, a zwyczaj ów występuje również w kręgach najgorszych, tych dotychczas nieobjętych denazyfikacją. Rzadko słyszy się te słowa wypowiedane z tak szczerym, niefałszowanym patosem - kruchy mistrz rezygnacji pochylony nad równie kruchą miśnieńską porcelaną posiada tę umiejętność.

- Przywitaliśmy Anglików jak wyzwolicieli, lecz najwyraźniej nie byli tego świadomi. Zrobilibyśmy wszystko, nie dla starych Niemiec, ale dla zbudowania nowej demokracji. Nie pozwolono nam na to. Dzisiaj jesteśmy rozgoryczeni, bo odnosimy nieodparte wrażenie, że Anglicy sabotują odbudowę i że to, co się dzieje, jest im obojętne, bo są silniejsi od nas.

„My” może oznaczać partię liberalną, która, mimo że w północnych Niemczech jest mała, cieszy się dobrą opinią ze względu na antynazistowski charakter, natomiast w Niemczech południowych jest partią dużą o podejrzanej reputacji, wyznającą zasadę „myśleć liberalnie, działać socjalnie i czuć po niemiecku”. „My” może również oznaczać coś innego,

na przykład tę część niemieckiej inteligencji, która w duszy i w sercu była przeciwko nazizmowi, lecz nigdy z tego powodu nie cierpiała, być może nawet nie miała zamiaru cierpieć, bo nigdy czynnie się nie buntowała, i odczuwa coś w rodzaju *jalousie de métier* (zawiści zawodowej) w stosunku do licencjonowanych antynazistów, tych, których politycznie prześladowano. Kiedy dusza skrywa dwa sumienia, jedno czyste, drugie nieczyste, trudno o polityczną lub psychiczną równowagę. Rozczarowanie i świadome pozbycie się złudzeń bez wątpienia jest dla duszy najprostszym wyjściem z dylematu.

Pisarz ma naturę bardziej pojednawczą i ze śmiechem opowiada, że programy partii są strasznie mętne, więc ludzie idą na niewłaściwe spotkania wyborcze i dopiero kiedy wychodzą, dociera do nich, i to też nie zawsze, że wylądowali u socjaldemokratów zamiast u chrześcijańskich demokratów albo u liberalnych demokratów zamiast u konserwatystów. Trafnie i w zabawny sposób ilustruje ideologiczne zamieszanie. Mimo że, jak twierdzi, jest urodzonym antynazistą, głosował na CDU, partię, która zwie się chrześcijańską, pod której krzyżem, jak mówią, zgromadzili się niemal wszyscy byli naziści, z obawy przed gospodarką planową i utratą majątku. Aby uspokoić sumienie, przekonał swoją siostrę - która ma konserwatywne przekonania, ale nie ma pieniędzy - żeby zamiast niego głosowała na socjaldemokratów.

Pokutuje w nim nawyk pisanie optymistycznych powieści, mimo że od ostatniej upłynęło już piętnaście lat. Zapewnia pod słowem honoru, że wśród ludzi na poziomie naziści stanowili najwyżej jeden procent, na co adwokat chłodno ubolewa nad brakiem poziomu w Niemczech. Obwinia jednocześnie Anglików, że świadomie morząc głodem ludność, prowadzą politykę równie demoralizującą jak kiedyś naziści i czynią „złych ludzi gorszymi, a dobrych niepewnymi”, tak że w końcu wpadają w objęcia rozmaitych podejrzanych ideologii, jeśli tylko dają nadzieję na poprawę warunków codziennego życia.

Jest smutną prawdą, że głód nie sprzyja żadnej formie idealizmu. Największym przeciwnikiem ideologicznej odnowy w dzisiejszych Niemczech nie są zadekларowani reakcyoniści, lecz obojętne masy, których polityczne wybory zależą od tego, czy będą syte. Świadoma tego sprytna propaganda wyborcza zamiast pokoju i wolności obiecywała w przypadku zwycięstwa praktyczny schowek na żywność, niedostępny dla szczurów i złodziei, a najsytniejszy niemiecki bochenek chleba to ten, który wraz z ostrym nożem pojawił się jesienią 1946 roku na plakatach wyborczych partii komunistycznej. Kiedy pewnego deszczowego październikowego dnia generał Koenig, wyzwoliciel Paryża, wszedł pod podziurawiony kulami dach dworca głównego w Hamburgu, czekały na niego i jego niespokojną angielską eskortę - oficerów z białymi mankietami do łokcia i znaczną ilością

czzerwieni na policzkach i na paradnych uniformach - zwarte szeregi bezrobotnych hamburczyków. Kiedy długa kolumna samochodów ruszyła z gniewnym sygnałem, ludzie, szyderczo pokrzykując, otoczyli młodych niemieckich policjantów. Co on nam przywiózł? Może czekoladę? A może chleb?

I twarze przedstawicieli służb porządkowych w skórzanych hełmach oblewały się rumieńcem.

Rumienić się - to jedyne, co jak dotąd mogą robić partie, kiedy masy żądają rozwiązania nękających je problemów materialnych. Można się jednak rumienić mniej lub bardziej twarzowo. Do tych mniej twarzowych należy uparte podtrzymywanie przez mieszczaństwo tezy o rozkładzie społeczeństwa klasowego. W głębi duszy ma ono świadomość, że teza jest fałszywa. Tort z podłego niemieckiego chleba, który serwują adwokat i pisarz, ma w gruncie rzeczy symboliczne znaczenie, liberalny tort z fałszywą śmietaną, przykrywającą bolesne fakty. Jest to niewątpliwie tort dla najmniej biednych. Najbiedniejsi nie jedzą chleba w takiej postaci.

Ów symboliczny tort wskazuje na jeden z powodów, dla których partie robotnicze włączają do swoich programów hasło walki klas, a przewidujące związki zawodowe przepowiadają konflikty społeczne o niespotykanym dotychczas zasięgu, gdy tylko władze okupacyjne poluzują kaganiec. Żeby na własne oczy zobaczyć, jak sprawy stoją, wystarczy przejechać się hamburskim metrem, gdzie w drugiej klasie podróżują względnie dobrze ubrani i względnie dobrze wyglądający ludzie, w trzeciej zaś ludzie wynędzniali o twarzach białych jak kreda lub gazetowy papier, twarzach, które chyba nigdy się nie rumienią i wyglądają, jakby nie było w nich ani kropli krwi. Te najbielsze twarze z pewnością nie należą do niemieckiej klasy najmniej biednych.

Sztuka upadania

Upadnij trochę. Spróbuj trochę upaść. Jeżeli upadanie jest sztuką, to niektórzy opanowali ją lepiej, a inni gorzej. W Niemczech ci, którzy opanowali ją gorzej, twierdzą, że nie mają za co żyć i tylko świadomość, że tym bardziej nie mają za co umierać, trzyma ich przy życiu. Ale jest też zadziwiająco wielu takich, którzy są skłonni pójść na wszystko, byle tylko przeżyć.

W każdą niedzielę przed stacją Zoo w Berlinie siedzi wynędzniały niewidomy mężczyzna i wygrywa skrzekliwe psalmy na małych przenośnych organach. Z gołą głową mimo zimna smętnie nadstawia uszu w stronę leżącej na chodniku sfatygowanej czapki, lecz niemieckie monety, wydając słaby głuchy dźwięk, rzadko wpadają do czapek niewidomych. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby nie grał na organach, a przede wszystkim gdyby nie grał psalmów. W powszednie dni po południu, kiedy mijają go berlińczycy, ciągnąc za sobą małe skrzypiące wózki po jeszcze jednym dniu spędzonym na polowaniu na ziemniaki lub drewno na opał na lepiej zachowanych przedmieściach, niewidomy zamienia organy na katarynkę i wtedy monety wpadają częściej, mimo to w niedziele wierny nieekonomicznemu idealizmowi grajek z uporem powraca do starych skrzypiących organów. W niedziele nie uznaje katarynki. Jeszcze nie całkiem upadł.

Na dworcach natomiast można spotkać ludzi, którzy przekroczyli już wszelkie granice. Obszerne niemieckie dworce, dawne salony przygód, przechowują w swoich poharatanych murach i popękanych dachach znaczny procent beznadziei. W deszczowe dni przyjezdny za każdym razem niezmiennie się dziwi, widząc i słysząc, jak bębniący deszcz przebija się przez dach poczekalni i tworzy kałuże na posadzce między ławkami. W tym zdyscyplinowanym chaosie sprawia to wrażenie małej rewolucji. Nocami, nieco zaskoczony, natyka się w betonowych tunelach na uchodźców ze wschodu lub z południa, leżących pokotem na gołej ziemi wzdłuż gołych ścian, pogrążonych w ciężkim śnie, lub przycupniętych obok nędznych tobołków w nazbyt czujnym oczekiwaniu na pociąg, który zawiezie ich na inny dworzec, równie przygnębiający jak ten.

Stacje kolei podziemnej w największych miastach przetrwały w lepszym stanie. Są skromne, lecz niezniszczone. Na przystankach Untergrundbahn w Berlinie czuć woń wilgoci i biedy, jednak pociągi jeżdżą szybko i pewnie, jak w czasach pokoju. Nikt się nie ogląda za obcymi żołnierzami krążącymi po peronach w towarzystwie dobrze ubranych, ale nieudolnie umalowanych niemieckich dziewcząt, mówiących płynnym zręczliwym amerykańskim lub

szybkim pojedynczym angielskim. Niektóre, oparte o drzwi wagonów, rzucają wokół wyzywające spojrzenia, aby przyciągnąć jak najwięcej spojrzeń, i tłumaczą swoim angielskim żołnierzom, że tutejsi ludzie nie mają rozumu, inne podpierają swoich podchmielonych amerykańskich przyjaciół, a ich wzrok mówi: „Cóż ma robić biedna dziewczyna?”. Dym z alianckich papierosów miesza się z dymem niemieckich, cierpkim i duszącym, nadając podziemnym pociągom nieprzyjemny zapach brudu i biedy. Lecz kiedy metro wynurza się na ostre światło dzienne, także na twarzach dziewcząt pojawia się cień głodu. I zdarza się, chociaż rzadko, że ktoś mówi: „Oto jak wygląda przyszłość Niemiec! Pijany, krostowaty amerykański żołnierz i niemiecka prostytutka się dziewczyna!”.

Rzadko się to zdarza, bo życie w biedzie odzwyczaja od udzielania moralnych pouczeń. Myli się dobrze odżywiony wojskowy kapelan z Kalifornii, gdy spożywając befsztyk w Nordexpressen, twierdzi, że Niemcy są krajem całkowicie pozbawionym moralności. Faktem jest, że w zubożałych Niemczech moralność przybrała zupełnie inną postać, na skutek czego nienawykły wzrok jej nie dostrzega. Nowa moralność utrzymuje, że w pewnych okolicznościach kradzież nie jest niemoralna, ponieważ przede wszystkim oznacza bardziej sprawiedliwy podział tego, co jest, a nie odbieranie komuś jego własności, nie są też niemoralne czarnorynkowy handel czy prostytutka, jeżeli są jedynym sposobem na przeżycie. Co naturalnie nie znaczy, że wszyscy kradną, uprawiają handel na czarnym rynku czy się prostytuują, ale że nawet w niektórych kręgach chrześcijańskiej młodzieży skazywanie rodziny na głodowanie uznaje się za bardziej niemoralne niż czyny w normalnych warunkach niedozwolone, dokonane w celu przetrwania. Przestępstwo popełnione z konieczności spotyka się w Niemczech z większą tolerancją niż gdziekolwiek indziej; to jedna strona tego, co alianccy kapelani zwą brakiem moralności. Lepiej upaść, niż pójść na dno.

Pewnego popołudnia w Berlinie, gdy robi się już ciemno, a światła są wygaszone z powodu racjonowania prądu, w mroku stacji kolejowej, wśród łoskotu pociągów jadących do Poczdamu, spotykam drobną nauczycielkę z Polski. Jest tu z siedmioletnim synkiem, który z dziecięcym zainteresowaniem przygląda się na skraju bocznic pozostałościom po wypadku kolejowym sprzed dwóch lat. Koło torów leżą przewracane wagony osobowe ze zmiądzonym dachem, spalony wózek wagonowy wjechał w zardzewiały szkielet połamanego wagonu sypialnego, dwa wagony towarowe stoją zadziornie na sztorc, z rumowiska sterczą szczątki podwozi.

W drodze do Berlina widzi się wzdłuż torów mnóstwo starych zardzewiałych wraków. Na każdej stacji perony są czarne od ludzi, ludzie z plecakami, wiązkami chrustu, małymi

wózkami i główkami kapusty w podartym papierze szturmują drzwi wagonów i przez cały czas między dwiema stacjami ktoś krzyczy z bólu. Dwie kobiety kłócą się nieprzerwanie o jakieś głupstwo. Skomlą przydeptywane psy, lecz ławkę, na której w milczeniu siedzą dwaj rosyjscy oficerowie, otacza parawan zaleźnionego szacunku. Z krótkich zdań, wciąż urywanych wskutek tłoku na każdej stacji lub nieustannych złożeń ludzi ze zbyt dużymi plecakami, dowiaduję się stopniowo, jak żyje w Berlinie osoba bardzo samotna. Polska nauczycielka straciła męża w Auschwitz i dwoje dzieci w drodze między polską granicą a Berlinem w czasie wielkiej paniki w roku 1945, został jej tylko chłopiec. Mimo to, kiedy zapala się światło, twarz ma spokojną i na moje pytanie, czym się zajmuje, z uśmiechem szepce mi do ucha: *Geschäft!* Dawniej czytała Hamsuna i Strindberga w małym polskim miasteczku, ale *jetzt ist alles vorbei* - teraz to już przeszłość.

Lecz co to jest *Geschäft?* Przez chwilę rozmawiamy o marzeniach, bo dla wszystkich, którzy są zmuszeni zostać w Niemczech, dobrze jest tam, gdzie ich nie ma, chyba że są za starzy na marzenia lub z rozpaczliwą odwagą wierzą w swoją misję. Polska nauczycielka marzy o Szwecji lub Norwegii. Ma w domu obraz, który jej towarzyszy w tych marzeniach. Przedstawia norweski fiord - albo Dunaj w Siedmiogrodzie. Czy mógłbym do niej przyjść i powiedzieć, jaki to widok, żeby nie musiała już marzyć o niewłaściwych stronach?

Od podziemnej stacji idzie się długo ciemnymi ulicami. Na ścianach ruin wciąż wiszą wielkie afisze, pozostałość po niedawnych wyborach. Socjaldemokratów: „Tam gdzie jest strach, nie ma wolności. Bez wolności nie ma demokracji”. Komunistów: „Młodzież z nami”, CDU: „Chrześcijaństwo. Socjalizm. Demokracja”, cdu to partia kameleon, w Hamburgu wygrali dzięki prostackiej antymarksistowskiej propagandzie, w Berlinie usiłowali wygrać, odmieńjąc bez końca słowo demokracja.

- A co to właściwie jest *Geschäft?*

To handel na czarnym rynku, jeśli słowo wymawia się szeptem, a zwykle interesy, jeżeli wymawia się je na głos. Kobieta ma dwupokojowe mieszkanie na samej górze w domu, z którego zmiotło dach. Na schodach już czekają ludzie. Ktoś chce sprzedać zegarek. Ktoś inny nagle doszedł do wniosku, że musi mieć wschodni dywan. Pani w podeszłym wieku, delikatna jak porcelanowa figurka, zamiast masywnych srebrnych sztuców wołałaby coś do jedzenia. Przez cały wieczór ciągle ktoś dzwoni do drzwi, a duży pokój pęka od ludzi, którzy stłumionym rozgorączkowanym głosem rozprawiają o porcelanie, zegarkach, futrach, dywanach i bajecznych sumach w markach. Siedzę w pokoju w głębi mieszkania, usiłując nawiązać rozmowę z milczącym chłopcem - ma siedem lat i oczy przynajmniej o dziesięć lat starsze. Obraz przedstawia całkowicie anonimowy pejzaż. Popijam herbatę z dziwnie białym

cukrem. W przerwie wchodzi nauczycielka, mówi, że nie lubi tego, co robi.

- Kiedyś byłam tak nieśmiała, że prawie nie otwierałam ust. Teraz całymi dniami poluję na ludzi ze srebrem i złotem. Proszę nie myśleć, że mi to sprawia przyjemność. Ale i tu trzeba żyć. A żeby żyć, trzeba do wszystkiego przywyknąć.

Tak, to prawda, trzeba żyć i do wszystkiego przywyknąć. Jej towarzysz, który niedawno powrócił z frontu, przez chwilę dotrzymuje mi towarzystwa. Walczył we Włoszech i ma zdeformowane czoło - pamiątka po pierwszym lądowaniu aliantów na Sycylii - i dodatkowo odłamek granatu w piersiach jako pamiątkę oblężenia Monte Cassino. Na zarzut, że handluje na czarnym rynku, odpowiada:

- Mam czterdzieści marek zasiłku na miesiąc. Akurat na siedem papierosów.

Jeśli go zapytać, czy był nazistą, mówi, że spędził siedem lat na wojnie i uważa to za wystarczającą odpowiedź. Jeśli zapytać, czy głosował, mówi, że tak, ale że to i tak nic nie zmieni. Na jaką partię? CDU? Nie, bo nie jest wierzący. KPD? Nie, bo ma przyjaciół, którzy siedzieli w rosyjskim obozie jenieckim. A więc na socjaldemokratów, bo są mu najbardziej obojętni.

Jednak mężczyźnie pozostały nie tylko wspomnienia z Nettuno i Monte Cassino, pozostał mu też w pamięci dawny przyjazny Berlin. Potrafi nawet żartować. Opowiada dowcip o czterech okupantach, którzy pilnują stawu, gdzie każdy z nich ma swoją złotą rybkę. Rosjanin złowił rybkę i ją zjada. Francuz złowił rybkę i ją wyrzuca, oderwawszy uprzednio piękne płetwy. Amerykanin wysłał wypchaną rybkę do domu na pamiątkę. Najdziwniej zachowuje się Anglik: łapie rybkę i trzymając ją w ręku, zagłaskuje na śmierć.

Ten marznący, głodujący, pokątnie handlujący, brudny i występny Berlin wciąż jeszcze potrafi żartować, zaprosić do domu na herbatę samotnego nieznanego, nadal można w nim spotkać takich ludzi, jak owa polska nauczycielka i ów żołnierz, którzy choć żyją poza prawem, stanowią paradoksalnie jasne punkty w głębokiej ciemności, gdyż starcza im odwagi, aby upadać z otwartymi oczami.

Lecz kiedy wieczorem wracam do domu, wdychając szczególną woń podziemnej kolejki, młodziutki angielski żołnierz siedzi pijany między dwiema wyniszczonymi blondynami o zastygłych uśmiechach, jakby zdjętych z innych twarzy. Głaszcze je obie, a kiedy potem wysiada, uśmiechy szybko opadają z twarzy dziewcząt i rozpoczyna się niewybredna nużąca kłótnia, z wyczuwalną nutą hysterii w powietrzu, trwająca przez trzy stacje. To na pewno nie są złote rybki.

Nieproszeni

W dzisiejszych Niemczech pociągi towarowe mają na ogół pierwszeństwo w ruchu kolejowym. Ci sami Niemcy, którzy z goryczą twierdzą, że władze okupacyjne, rezerwując dla siebie po kilka rzędów w miejskich teatrach, zrobiły z nich obywateli trzeciej kategorii, siedzą teraz w lodowatych przedziałach zbiedniałych pociągów osobowych i nadają nowym porządkom na kolei symboliczne znaczenie. To prawda, trzeba się nauczyć czekać: niektóre pociągi towarowe okazują się ważniejsze niż zapchane i wyzębione pociągi osobowe, uginające się pod ciężarem ludzi z pustymi lub świeżo załadowanymi workami ziemniaków.

Są jednak pociągi i pociągi. Niektóre pociągi towarowe uważa się za tak nieważne, że kieruje się je na bocznicę węzłów kolejowych, gdzie zapomniane lub pomijane stoją przez kilka dni, zanim ruszą dalej. Wynurzają się z nocy niezapowiedziane, wywołując uprzejmą niechęć dyżurnych ruchu i władz kolei, podobnie jak każdy nieproszonego gość. Mimo to niechciane pociągi towarowe z zenującym uporem pojawiają się na stacjach niby statki widma, a personel kolejowy włącza je do ruchu, gdy tylko jakaś linia przypadkiem okaże się wolna.

Łatwo zrozumieć wahanie i niechęć władz kolei. Nieproszone pociągi towarowe nie są typowe nawet dla powojennego taboru kolejowego w Niemczech. Składają się z wagonów, które w normalnych czasach wycofuje się z ruchu, połączonych teraz w skład i zaopatrzonych w niewielkie tabliczki informacyjne: „Wagon nie nadaje się do przewozu delikatnych towarów, nie chroni przed wilgocią”. Oznacza to, że deszcz leje się przez dach, więc wagon nadaje się wyłącznie do przewozu towarów, które nie rdzewieją, których nie uszkodzi woda lub o tak nikłej wartości, że nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nawet je uszkodzi, jednym słowem rzeczy, których z pewnością nie oplaca się ukraść ani przewozić w pociągu godnym poważnego traktowania i pierwszeństwa przy wjeździe na stację.

Taki oto pociąg stoi w zimnym szarym deszczu na bocznicę w Essen. Stoi tu już od tygodnia i jego dziewiętnaście wagonów moknie teraz w deszczu. Lokomotywa jest odłączona i nie ma śladu zainteresowania towarzyszącego zwykle przybyciu składu towarowego. A przecież w tym opuszczonym, wygłodzonym pociągu znajduje się coś, co powinno w najwyższym stopniu interesować miasto Essen: kilkuset jego mieszkańców, których ewakuowano do Bawarii, gdy nad Zagłębiem Ruhry rozpostarto pierwsze dywany bomb, powróciło do swojego miasta, a raczej na jego stację, jako że dalej nie mają dokąd pójść.

Wszyscy Niemcy wiedzą o *Zuzugsverbot* do wszystkich większych niemieckich miast - oznacza to zakaz przyjazdu w tym sensie, że w każdym niemieckim mieście wolno naturalnie przechadzać się wśród ruin, lecz nie wolno szukać pracy, jeść ani mieszkać. Wiedzą o tym również władze Bawarii, ale ta wiedza nie przeszkadza im w wysiedlaniu nie-bawarczyków, ewakuowanych tutaj i rozsianych po nietkniętych wojną bawarskich wsiach. Na jakiejś stacji w Bawarii podstawia się nieszczelne wagony towarowe, gdzie cały komfort to podłoga, dach i ściany, pakuje się do nich ludzi i gdy tylko droga jest wolna, skład rusza w kierunku północno-zachodnim.

Po czternastu dniach do stacji przeznaczenia przybywa pociąg, o którym najpierw nikt nic nie wie, a potem nie chce wiedzieć. Przez czternaście dni podróży władze nie zapewniły pasażerom żadnego wyżywienia, natomiast ich miasto, okazując nieco dobrej woli, oferuje im talerz chudej zupy dziennie w niewielkim baraku przy torach.

Być w takim miejscu i nie móc w niczym pomóc to okropne i zawstydzające uczucie. Budynek stacyjny nie istnieje już od kilku lat, a za jedynym utrzymanym torem, gdzie stoi samotny pociąg, wiją się skrzycone jak węże szyny. Deszcz rozmazał błoto na popękany peronie. Część pasażerów przemyka się wzdłuż wagonów z okienkami w pół otwartymi na szary dzień. Przyjechałem tu z miasta z młodym lekarzem, którego bolesnym obowiązkiem jest stwierdzić, że stan zdrowia mieszkańców pociągu jest niezadowolający, i przekazać im, że miasto, niestety, nic na to nie może poradzić.

Jego przyjazd wzbudza jednak złudne nadzieje w głodujących ludziach. Stara kobieta przywołuje nas, wychylając się nad zardzewiałą rurą piecyka. Okazuje się, że w ciemnym wagonie leży w łóżeczku jej dwuletnia wnuczka. Dziewczynka jest zupełnie nieruchoma, chyba że zaczyna kasłać. Wewnątrz widok nędzy: pod ścianą zniszczone łóżko, w jednym rogu kopiec kartofli (jedyne prowiant w tej podróży bez celu), w drugim niewielka kupka brudnej słomy, na której śpią trzy osoby, spowita kojącym błękitnym dymem z uszkodzonego piecyka wydobytego z ruin Essen. Mieszkają tu dwie rodziny, razem sześć osób. Z początku było ich ośmioro, ale dwie osoby wysiadły po drodze i już nie wróciły. Doktor W. może naturalnie obejrzeć dziewczynkę i ocenić jej stan, mógłby przy świetle z otwartych drzwiczek piecyka stwierdzić, że konieczne jest natychmiastowe leczenie w szpitalu, ale musiałby wtedy dodać, że w szpitalu i tak nie ma miejsc, a urzędnicy w zarządzie miejskim są powolniejsi niż śmierć.

Kiedy więc babcia prosi go, aby coś zrobił, musi najpierw zacisnąć zęby, przełknąć ślinę i przyznać, że nie przyszedł tu, żeby im pomagać, ale żeby pokazać szwedzkiemu dziennikarzowi, „jak wspaniale jeździ się dzisiaj w niemieckich pociągach” Młody chłopiec

w znoszonym marynarskim mundurze leży na słomie i śmieje się rozbawiony.

Wieść o naszym przybyciu rozeszła się po całym pociągu i dzieci i starcy czekają niecierpliwie w padającym deszczu i zasypują nas lawiną pytań. Ktoś słyszał, że pociąg znów wyruszy w trasę, ale nawet maszynista nie wie, dokąd ona prowadzi. Ktoś raz po raz prosi doktora, żeby pomógł skierować pociąg na wieś, gdzie pasażerowie mogliby jakoś urządzić sobie życie.

- U chłopów - syczy ktoś z oburzeniem. - Mamy już po uszy naszych chłopów!

Jeszcze inny ma chorą, wycieńczoną głodem matkę, która leży na słomie, zanosząc się kaszlem - lecz jak tu pomóc, jeżeli zamiast lekarstw mamy tylko kilka słów pociechy. Młodzi sympatyczni rodzice podają mi przez otwarte drzwi wagonu małe dziecko i proszą, abym je chwilę potrzymał. Roczny siny maluch ma zaognione oczy od przeciągu w wagonie; rodzice są jednocześnie dumni i zatroskani. Mężczyzna chce mnie koniecznie przekonać, że wszyscy w pociągu zdają sobie sprawę z tego, kto ponosi odpowiedzialność, że w ostatecznym rozrachunku winien jest Hitler i nikt inny, ale władze Bawarii, która ze wszystkich landów Rzeszy najmniej ucierpiała, nie musiały postąpić z taką bezduszością i mogły przynajmniej uprzedzić Essen o przybyciu pociągu.

- Panowie władza robią sobie, co chcą, a my jak zwykle za to płacimy - rzuca żwawa kobiecina z głębi ciemnego wagonu.

Mimo wszelkich przeciwności ogólny nastrój jest dobry. Świadomość, że nie jest się osamotnionym w cierpieniu, rodzi poczucie radosnej solidarności, która wyraża się między innymi w przyływach wisielczego humoru. Ściany wagonu są gęsto zapisane kredą: szczególnie ironiczne tutaj dawne hasło Anszlusu „*Heim ins Reich*” - „Powrót do Rzeszy”, „*Wir Danken dem Herrn Högnerfür die freie Fahrt*” - „Dziękujemy panu Högnerowi (bawarski socjaldemokratyczny premier krajowego rządu) za darmowy przejazd”, rysunek przedstawiający woły zaprzężone do wozu opatrzone tekstem: „Niech teraz bawarscy chłopci sami wożą swój gnój”. Poza tym wszędzie słynne tabliczki oznajmiające, że wagon nie jest szczelny. Lekarz uderza w jedną z nich gniewną dłoń w rękawicze.

- Do przewozu towarów już się nie nadaje. Wyłącznie dla ludzi. - I coraz bardziej wzburzony: - Niech pan pomyśli, rodacy wypędzają rodaków. Niemcy przeciwko Niemcom. To jest najgorsze ze wszystkiego.

Wydaje się bardziej zgnębiony faktem, że transport wysłali Niemcy, niż położeniem przewożonych ludzi. Młody lekarz jest konserwatywnym antyfaszystą, który w krytycznej sytuacji potrafi oceniać nazizm przez pryzmat narodowej konieczności. Kiedy mówi o okupacji Norwegii, gdzie po złożeniu ostatniego egzaminu trafił jako lekarz wojskowy,

wspomina cudowne wycieczki narciarskie przy blasku księżycy w norweskich górach. Słuchając go, odnosi się wrażenie, że Niemcy zajęli Norwegię w celu uprawiania sportów zimowych. Mimo to trudno nie uważać doktora W. za człowieka na swój sposób godnego szacunku.

Jest chociaż na tyle przyzwoity i uczciwy, że podjął lojalną współpracę z alianckimi władzami w celu poprawy warunków sanitarnych w Essen. Jednak dla niego, podobnie jak dla wielu innych młodych ludzi z dobrze sytuowanych domów, wychowanych nie w duchu ideologii nazizmu, lecz idealistycznego nacjonalizmu, który cechuje umiarkowana bezwzględność w przypadku zwycięstwa i prawomyślna godność w razie klęski, doświadczenie bezwzględności Niemców wobec Niemców jest straszliwym szokiem.

Możliwe, że w chwili obecnej Niemcy znajdują się w historycznie bezprecedensowej sytuacji: antagonizmy pomiędzy wielkimi grupami interesów są tak silne, że w pewnym sensie tłumią reakcyjne siły drzemące w świadomości społecznej, uniemożliwiając prowadzenie skutecznej neonacjonalistycznej propagandy. Pasażerowie tego pociągu nienawidzą bawarskich chłopów i Bawarczyków w ogóle, a względnie zasobna Bawaria spogląda z lekką pogardą na resztę rozhisteryzowanych Niemiec. Ludność miast oskarża chłopów o handel żywnością na czarnym rynku, chłopci zaś twierdzą, że mieszkańcy miast krążą po wsiach i ich okradają. Uchodźcy ze wschodu plują nienawiścią do Rosjan i Polaków, ale sami traktowani są jak intruzi i w rezultacie są na wojennej stopie z ludźmi z zachodu. Napięta atmosfera na zachodzie zderza się z nastrojami nienawiści, jak dotąd na tyle skrywanymi, że wybuchają jedynie w sporadycznych aktach przemocy.

W pociągu jest wielu takich, którzy wybrawszy się do miasta, zastali swoje mieszkania zajęte przez obcych ludzi. Siedzą teraz rozżaleni na słomie, podczas gdy na peronie dwie starsze kobiety spierają się o to, czy Hitler naprawdę żyje, jak głosi plotka w zachodnich Niemczech.

- Ten drań - mówi starsza i bardziej wymizerowana i dłonią robi gest, jakby podcinała sobie gardło - niechby się tylko tu pokazał!

Tymczasem przyjechało kilku przedstawicieli szwedzkiego Czerwonego Krzyża z mlekiem w proszku dla dzieci poniżej czterech lat. Przeszukujemy pociąg, za nami podąża milcząca grupa znacznie starszych dzieci, które przez chwilę mają nadzieję. Ktoś odsuwa drzwi do zamkniętego wagonu i z mroku wylania się wynędzniały patriarcha z siwą brodą.

- Nie, nie ma tu żadnych dzieci - mamrocze - tylko żona i ja. Mamy prawie po osiemdziesiąt lat. Mieszkamy tutaj. Taki nasz los. *So ist unser Los.* - Po czym z godnością zamyka drzwi.

W innym wagonie siedzi na wózku inwalidzkim dziewczynka ze wstrząsem pourazowym. Widok munduru budzi w niej chyba jakieś koszmarne wspomnienia, gdyż natychmiast wybucha krzykiem; straszliwy przejmujący krzyk nagle się załamuje i dziewczynka zaczyna skomleć jak pies. Leje deszcz i bosy chłopcy cicho biegają po peronie. Dym z piecyków powoli rozciąga zasłonę nad opuszczoną bocznica. Cała beznadzieja Zagłębia Ruhry wisi jak szara ołowiana chmura wilgotnego chłodu nad naszymi głowami - chce się niemal krzyżeć. Ktoś wynosi wózek rozhisteryzowanej dziewczynki i kręci nim w kółko na peronie. W kółko, w kółko w deszczu i błocie.

Rywale

Traktowanie Niemiec jak pacjenta, „chorego dziecka” Europy, któremu należy niezwłocznie zaaplikować zastrzyki z antynazistowskim serum, jest postawą wygodną, lecz wątpliwą. Wątpliwą nie dlatego, że Niemcy w jakikolwiek sposób zostały wyleczone z nazizmu, ale z tej przyczyny, że teoria pacjenta zakłada jakąś mistyczną jedność, która w dzisiejszych Niemczech bynajmniej nie istnieje. Nie jest prawdą, że naród niemiecki jest podzielony na dwa bloki: niewielki pomnik zwycięstwa nad nazizmem wielkości kamienia nagrobego i ogromny nazistowski monument nagrobny, który przewróci się przy najmniejszym powiewie ze strony opozycji i przygniecie swą straszliwą marmurową masą wszystkie małe barykady wolności.

Przebywając przez jakiś czas wśród Niemców z różnych warstw społecznych, można zauważyć, że to, co podczas krótkiego pobytu w aktualnym świecie niemieckich poglądów wydawało się gładkim monolitem, w rzeczywistości jest pokryte ukośnymi, pionowymi i poziomymi pęknięciami. To, co braliśmy za niewzruszoną jednomyślność, jest tylko ograniczoną wspólnotą niektórych podstawowych poglądów: wszyscy Niemcy są zdania, że siedem milionów jeńców wojennych powinno wrócić do kraju i że powracający powinni ważyć nieco więcej - w sensie dosłownym - niż Niemcy, którzy wracają z rosyjskich fabryk broni lub francuskich kopalni. Wszyscy Niemcy uważają, że powinno się znieść granice między strefami, a demontaż zakładów przemysłowych, jeżeli już konieczny, nie musi oznaczać, że na przykład cenne części maszyn skonfiskowane przez Rosjan mają rdzewieć na barkach w hamburskim porcie. Wszyscy Niemcy w zachodnich strefach uważają, chociaż z różnych powodów, że masowe transporty ze wschodu na zachód są formą niewidocznego nacisku na aliantów ze strony rosyjskiej; pompując do zachodnich stref masy pozbawionych środków do życia ludzi, Rosjanie zamierzaliby doprowadzić do szybko postępującego *Verelendung* (ubożenia), co w jakimś krytycznym momencie wywołałoby katastrofalny dla władz okupacyjnych wybuch.

Stosunek Niemców do aliantów jest niejednolity. Wspólne dla wszystkich jest swoiste poczucie naturalnego braku wolności; jednak nawet w kręgach mocno reakcyjnych panuje opinia, że nie ma obiektywnego powodu do jakiegokolwiek oporu, nawet biernego. Niemcy naprawdę nie mają poczucia, że są okupowani w taki sam sposób jak wcześniej Francuzi. Nie spotyka się otwartej pogardy dla przedstawicieli władz okupacyjnych, podobnie jak dla ich niemieckich dziewczyn, a jedyna forma demokratycznej edukacji, jaką usiłowali zastosować

alianci, czyli wysiłki Amerykanów, aby wychować niemiecką młodzież na dobrych graczy w baseballa, wzbudziła gdzieś żywe zainteresowanie młodych ludzi.

Jednym słowem daje się dość łatwo dostrzec zgodność poglądów, które jak arterie komunikacyjne przecinają wszystkie klasy społeczne, podobnie jak w Szwecji można łatwo stwierdzić brak rozbieżności w kwestii modernistycznej poezji lub niektórych przepisów podatkowych. Ważne jest jednak, aby ta jednomyślność opinii nie przysłoniła ostrych granic między rywalizującymi grupami ludności. Wspominaliśmy już wcześniej o nienawiści panującej między chłopami i ludnością miejską oraz jeszcze większej nienawiści między ewakuowanymi na wieś zubożałymi mieszkańcami miast, którzy cierpią taką samą biedę jak ludzie w mieście, i chłopami, którzy jeszcze jesienią wymieniali żywność na ubrania i bieliznę, ale gdy stopniowo doszło do inflacji ubrań, żądają złota, srebra i zegarków za ziemniaki, jajka i masło. Mówiliśmy również o napięciach klasowych między biednymi i najmniej biednymi, o wzrastających zadrażnieniach między uchodźcami i stałymi mieszkańcami i o bezwzględnej rywalizacji pomiędzy konkurującymi partiami.

Istnieje jeszcze jeden problem, być może groźniejszy niż inne: konflikt pokoleń, obopólna pogarda panująca między młodym a średnim pokoleniem, które nie dopuszcza młodych do kierowniczych stanowisk w związkach zawodowych, do władz partii czy w szeregi urzędników instytucji demokratycznych.

Nieobecność młodego pokolenia w życiu politycznym, związkowym i kulturalnym wynika nie tylko z tego, że znazyfikowanej młodzieży nie interesuje demokracja. W strukturach partyjnych i związkowych młodzi na próżno walczą ze starszymi o wpływy, których odmawia się im z uzasadnieniem, że wyrosli w cieniu swastyki. Z kolei młodzież nie chce się oddać w ręce starszego pokolenia, bo według niej to ono odpowiada za upadek demokracji. Przegrana młodych spowoduje pełen uprzedzeń, niebezpieczny stosunek do wszystkich instytucji demokratycznych, które coraz częściej będą postrzegane jako sfery zainteresowania starszych ludzi.

W toczącej się walce pokoleń najdziwniejsze jest to, że przedstawiciele starszej generacji są tacy starzy, a przedstawiciele młodszej często już nie są młodzi. W związkach zawodowych obserwuje się beznadziejną walkę trzydziestopięciolatków z sześćdziesięciolatkami. Mężczyznom, którzy stanowili radykalną młodzież przed rokiem 1933 i nie zmienili poglądów w okresie nazizmu, tak samo trudno się przebić, jak młodym ludziom, którzy nigdy nie zaznali niczego innego prócz nazizmu. Zatem twierdzenie, że w niektórych rejonach Niemiec nastąpił kryzys partii i związków zawodowych, nie jest zupełnie pozbawione słuszności, a jedna z głównych przyczyn owego kryzysu tkwi w tym, że ludzie,

którzy w roku 1933 przyczynili się do klęski, zbyt szybko przechwycili ster w trzęsące się starcze dłonie.

Najbardziej tragiczne w wielkim spotkaniu pod namiotem we Frankfurcie nad Menem, na które udałem się przed samym Bożym Narodzeniem, gdzie przemawiał dawny socjaldemokratyczny marszałek sejmu Paul Löbe, było jednak nie to, że wśród około tysiąca słuchaczy nie dało się znaleźć ani jednej młodej twarzy. Tragiczny i przerażający był ich mocno podeszły wiek. Osiemdziesiąt procent obecnych stanowili faceci o zgorzkniałych rysach i zastygłych uśmiechach, przybyli, żeby wspominać, a nie żeby szukać impulsu do walki o zaledwie pączkującą demokrację. Te osiemdziesiąt procent stało naokoło areny wśród dudniącej muzyki i mamrotało *Międzynarodówkę*, a w lodowatej ciszy wokół ich bezdźwięcznych głosów, zaschłych przez trzynaście lat milczenia, człowiek doznawał strasznego uczucia, że przebywa w muzeum przegranej rewolucji i równie przegranego pokolenia. Przed namiotem stali młodzi ludzie i wskazywali drogę sarkastycznym zdaniem: *Hier geht alles nach rechts*. Tu wszystko prowadzi na prawo.

Niemiecka młodzież znajduje się w tragicznym położeniu. Uczęszcza do szkół, gdzie otwory okienne zabite są szkolnymi tablicami, nie ma na czym pisać ani z czego się uczyć. Jak mówi młody lekarz z Essen, będą najbardziej niedouczeni na świecie. Ze szkolnych podwórzy mają widok na nieskończenie wiele ruin, które w najgorszym razie służą za szkolne ubikacje. Nauczyciele codziennie wygłaszają kazania o tym, że handel na czarnym rynku jest niemoralny, a kiedy młodzi wracają do domu, głód doskwierający im i rodzicom zmusza ich do poszukiwania jedzenia na ulicach. Prowadzi to do dramatycznego konfliktu, który nie sprzyja pokonaniu dystansu między pokoleniami. Tylko niepoprawny optymista mógłby szukać tej młodzieży w organizacjach rodzącej się demokracji. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że niemiecka młodzież ma własne organizacje: bandy rabunkowe i ośrodki czarnorynkowego handlu.

Stracone pokolenie

Niemcy mają nie jedno, lecz wiele straconych pokoleń. Można się spierać o to, które z nich jest najbardziej stracone, ale w żadnym razie nie o to, które jest najbardziej godne pożałowania. Ludzie około dwudziestki wystają całymi dniami na dworcach małych niemieckich miast, nie oczekując żadnego pociągu czy czegokolwiek innego. Można tam być świadkiem desperackich prób drobnych kradzieży podejmowanych przez nerwowych młokosów, którzy złapani na gorącym uczynku hardo potrzęsają grzywką, patrzeć na młode podchmielone dziewczęta uwieszone u szyi alianckich żołnierzy lub wpółleżące na ławach poczekalni obok pijanych Murzynów. Nie ma młodych ludzi, których spotkał podobny los, mówi pewien niemiecki wydawca w książce o młodych i do nich skierowanej. Podbili świat, mając osiemnaście lat, a mając dwadzieścia dwa, wszystko stracili.

Pewnego wieczoru w Stuttgarcie, w którego szerniałych wypalonych fasadach z trudem udaje się rozpoznać dawne piękno miasta, odbywa się spotkanie z tą najbardziej godną pożałowania generacją. Jestem w niewielkiej przykościelnej auli mieszczącej około stu pięćdziesięciu osób. Tu, po raz pierwszy i ostatni w czasie mojego pobytu, widzę zapełnioną salę i ludzi, którym nie wszystko jest obojętne. Są tu sami młodzi: bladzi, zabiedzeni, z wygłodzonymi twarzami, w znoszonych ubraniach, intelektualiści o zachrypniętych głosach, młode dziewczyny o zastraszająco twardych rysach twarzy, bogaty arogancki młodzian z futrzanym kołnierzem, który zapalając papierosa, rozsiewa zapach Amerykanina. Organizator - przewodniczący miejskiego związku „młodych demokratów” - wita drobnego bezkrwistego staruszka. To jeden z adwokatów do spraw denazyfikacji wyznaczonych przez miasto.

- Wielu młodych ludzi żyje dziś w niepewności - zaczyna przewodniczący. - Młodzi, którzy byli członkami Hitlerjugend albo wstąpili pod przymusem do ss i teraz są bezrobotni z powodu swojej przeszłości, chcieliby zapytać przedstawiciela Spruchkammern (Izba Orzekająca - sąd do spraw denazyfikacji), według jakich kryteriów orzeka się wobec nich karę.

Stary adwokat wydaje się z początku typowym przedstawicielem tych niemieckich prawników, którzy z demonstracyjną niechęcią pracują na rzecz denazyfikacji. Okazuje swoje niezadowolenie, podkreślając, że stosowane przepisy są ustanowione przez Amerykanów.

- Jesteśmy prawnikami - mówi. - Nie opluwajcie nas. Musimy być posłuszni, bo kapitulacja Niemiec jest bezwarunkowa i alianci mogą sobie poczynać z nami, jak chcą. Na nic się nie zda bojkot Spruchkammer. Na nic się nie zda fałszowanie Fragebogen (rodzaj

ideologicznej deklaracji). To tylko utrudnia sprawę nam i wam, bo Amerykanie wiedzą, kto był nazistą, a kto nie. Narzekacie, że wolno pracujemy, ale w samym Stuttgarcie stanie przed sądem sto dwadzieścia tysięcy osób. Piszecie listy i skarżycie się, że będziecie sądzeni, choć nie macie na sumieniu żadnego czynu popełnionego w imię nazizmu. Moja odpowiedź brzmi: Przyrzekaliście Führerowi bezgraniczne zaufanie i posłuszeństwo. Czy to nie jest czyn? Przyrzekaliście ślepe posłuszeństwo człowiekowi, którego nie znaliście. Płaciliście rocznie czterysta marek partyjnej składki. Czy to nie jest czyn?

Nagle pewien oburzony młodzieniec przerywa adwokatowi:

- Przecież Hitlera uznawał cały świat. Przyjeżdżali tu mężowie stanu i zawierali pakt. Pierwszym, który go uznał, był papież. Sam widziałem zdjęcie, na którym podają sobie ręce.

Adwokat: - Nie mogę wezwać papieża do mojej Spruchkammer.

Młody student: - Nikt nie wyciągnął do nas ręki, ani profesorowie, którzy się tak teraz nadymają, ani wy, prawnicy, którzy nas teraz sądzą. Sam jestem prawnikiem. Jako prawnik oskarżam starsze pokolenie o to, że milcząc, popierało nazizm.

Młody żołnierz: - Wszyscy żołnierze musieli przysięgać wierność Führerowi.

Adwokat: - Ale członkowie partii robili to dobrowolnie.

Żołnierz: - Nie można zrzucić odpowiedzialności na młodych.

Adwokat: - Nigdy wcześniej nie było w Niemczech partii, która żądała od swoich członków podpisania deklaracji bezgranicznego posłuszeństwa.

Oburzone głosy: - Jak to nie? Proszę się przyjrzeć dzisiejszym demokratycznym partiom, panie mecenasie! -(Ci młodzi ludzie są szczerze przekonani, że członkostwo w partii jest bezwarunkowo związane z obowiązkiem posłuszeństwa wobec jej przywódcy).

Adwokat: - To była hańba, rzecz niewybaczalna, czyn karalny, moi panowie, który dziś podlega karze do sześciu miesięcy więzienia, a w przypadku urzędników nawet do pięciu lat.

Oburzone głosy: - Nikt nam tego nie mówił. Mieliśmy wtedy po czternaście lat, panie mecenasie.

Adwokat: - Rozmawiałem z ludźmi bardziej doświadczonymi niż wy, którzy mówili: Jestem przerażony, że mogło do tego dojść. Każdy, kto podpisał deklarację posłuszeństwa, naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Możecie być wdzięczni aliantom. Wolelibyście, żeby wybuchła rewolucja, w której skrócono by was o głowę?

Bogaty młodzieniec: - Wtedy nie trzeba byłoby jeść witamin, panie mecenasie!

Adwokat: - Dla was, byłych narodowych socjalistów, to ustawa zbawienna. Łagodnie traktuje młodych ludzi, którzy przecież nie są całkiem zwolnieni od odpowiedzialności. Są

odpowiedzialni w takim stopniu, w jakim ktoś ponosi odpowiedzialność za doniczkę, która spadła z jego parapetu.

Student: - Panie mecenasie, pozwolę sobie zauważyć, że wy, starsi, którzy milczeliście, odpowiadacie za nasz los tak samo jak matka, która pozwala swojemu dziecku umrzeć z głodu.

Adwokat: - Wiecie przecież, że tych, którzy urodzili się po roku 1919, może objąć amnestia, pod warunkiem że nie ciąży na nich najcięższe zarzuty, jak napaść i pobicie oraz inne akty przemocy. Nawiasem mówiąc, my, starsi, musimy przyznać, że naziści potrafili dotrzeć do młodzieży. Niektórzy młodzi ludzie z radością wspominają czasy Hitlerjugend. - Pomruk aprobaty. - Trzeba również pamiętać, że dyktatura panowała nie tylko w Niemczech, ale również w Turcji, Hiszpanii i we Włoszech.

- Proszę nie zapominać o Rosji, panie mecenasie! - woła ktoś z sali i cytuje słowo w słowo przemówienie Churchilla na temat rosyjskiej polityki. - Z nimi nawet naziści nie mieli szans.

Adwokat: - Ustawa dotyczy całego narodu. Nie wystarczy zapłacić dwa tysiące marek grzywny. Konieczna jest przemiana duchowa, dotyczy to również młodych. Nie mówcie już: Nie możemy nic zrobić, choćby nawet twierdzenie, że żadnych młodych ludzi nie potraktowano gorzej niż was, było prawdziwe.

Esesman w średnim wieku: - Pierwsze rozsądne słowa tego wieczoru!

Adwokat: - Młodzi i starzy jadą na tym samym wózku. Czy potrafimy się podźwignąć?

Zgromadzenie: Potrafimy - dzięki młodym.

Adwokat: - Czy sądzicie, że pomogą nam politycy w Paryżu, którzy niczego nie załatwiają, tylko biegają z jednej konferencji na drugą? Musimy sobie pomóc sami. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Moi panowie, w roku 1933 bezrobocie panowało nie tylko w Niemczech, ale tylko Niemcy nie miały czasu czekać. Teraz musimy się nauczyć cierpliwości, bo odbudowa wymaga cierpliwości.

Przewodniczący: - Panie mecenasie, czy pan myśli, że nami, młodymi, nie kierowała w czasach Hitlera gorąca chęć budowania?

Esesman: - Byliśmy idealistami, panie mecenasie. Żądamy amnestii dla członków SS. Wszyscy wiemy, jak się odbywało wstępowanie do SS. Ktoś mówił: Ty, Karl, masz metr osiemdziesiąt wzrostu, pójdziesz do ss, i Karl szedł do ss. Każdy walczy o swój kraj i uważa to za punkt honoru, dlaczego mamy zostać ukarani za to, że walczyliśmy o nasze Niemcy?

Adwokat: - My, prawnicy, wykonujemy swój obowiązek zawodowy. Pracujemy dla

ustawy o denazyfikacji. Mnie także zaczynają posądzać o związki z nazizmem. Amerykanie zajęli mi dom i meble. Miejcie zatem pretensje do ustawy, a nie do Spruchkammer. Weźcie pod uwagę, że nam, starszym, nie było dużo łatwiej niż wam. Przez dwanaście lat staliśmy jedną nogą w obozie koncentracyjnym, a przez ostatnie sześć lat groźba bombardowań wisiała nad naszymi głowami dzień i noc. Nie tylko młodzi, cały niemiecki naród jest chory: chory od inflacji, reparacji wojennych, bezrobocia i hitleryzmu. To za dużo jak na dwadzieścia pięć lat życia narodu. My, prawnicy, nie mamy lekarstwa na ozdrowienie. Możemy zrobić tylko jedno: stosować jak najłagodniejsze przepisy prawa, starać się przesuwając ludzi z grupy najbardziej podejrzanych do grupy mniej podejrzanych; bądźcie pewni, moi panowie, że robimy co w naszej mocy. Robimy wszystko dla młodych, lecz przede wszystkim jesteśmy prawnikami i zgodnie z warunkami kapitulacji nie możemy odmówić pracy przy denazyfikacji.

Tym przepraszającym zawijaszem adwokat zakończył mowę. Do tej chwili miało trwać zaplanowane przez niego wprowadzenie do dyskusji, lecz nie udało mu się powstrzymać zapalczego protestu, który wdarł się do dobrze skonstruowanego przemówienia i porwał je na kawałki. Przyglądałem się zafascynowany, jak ten kulturalny, elegancki mężczyzna po prostu nie miał odwagi poskromić podekscytowanych młodych ludzi parlamentarnymi metodami. Prawdę powiedziawszy, w starszym pokoleniu często spotyka się czysto fizyczny lęk przed młodymi i jest to jedna z przyczyn, dla której osoby publiczne z tego pokolenia trzymają młodych na bezpieczny dystans.

W dyskusji, która potem nastąpiła, młodzi bez zainteresowania słuchali starszego esesmana, który opowiadał o krwawym pierwszym maja 1929 roku i krwawej bratobójczej walce partii lewicowych. Student prawa miał szczególny problem. Jego przewinienie miało miejsce przed dziesięciu laty. W 1936 roku, w wieku dwudziestu trzech lat został Pg (Parteigenosse - członkiem partii), lecz potem, gdy dojrzał, „sam się zdenazyfikował” Mimo to dostał wezwanie do sądu. Na co adwokat, że niewątpliwie byłoby pożądane, aby sprawy młodych ludzi rozpatrywano indywidualnie, lecz na obecny stan rzeczy nic nie można poradzić.

Student: - My, młodzi prawnicy, wstępowaliśmy do partii pod przymusem. Kto by nam pomógł, gdybyśmy odmówili? Wielu młodych adwokatów w Hesji wyrzucono wraz z rodzinami na ulicę i pracy mogą szukać w nieskończoność. Bez młodych ludzi nie ma demokracji, ale jeśli będą nas traktować w ten sposób, to przejdzie nam ochota do działania na rzecz takiej demokracji.

Przy tych słowach bogaty młodzieniec promienieje i woła brawo. Adwokat pociesza

swojego młodszego kolegę, mówiąc, że tylko oskarżeni kategorii pierwszej, czyli kategorii zbrodniarzy wojennych, zostają ukarani zakazem pracy, lecz zaprzecza temu młoda dziewczyna, twierdząc, że pracodawcy, którzy być może sami byli Pg, kręcą nosem, gdy słyszą, że starający się o pracę młody to Pg. Pracodawcy obawiają się nowo powstałych rad nadzorczych, reprezentantów przemysłowej demokracji, którzy, jak twierdzi dziewczyna, są dużo gorsi od Spruchkammer.

Z pewnością wie, co mówi. Całe Niemcy śmieją się lub płaczą nad denazyfikacją, tą komedią, w której Spruchkammer gra podobnie żalospną i dwuznaczną rolę jak przyjaciel domu, nad sądami, gdzie adwokaci przepraszają oskarżonych, zanim zapadnie wyrok, potężną biurokratyczną machiną, przed którą mimo panującego w Niemczech braku papieru niejedyn oskarżony zjawia się z setką zaświadczeń o niewinności i która młóci tysiące bzdurnych tuzinkowych przypadków, podczas gdy naprawdę istotne sprawy w tajemniczy sposób zapadają się pod ziemię.

Tych młodych ludzi, znikających w stuttgarckiej nocy, spotkał gorszy los niż jakiegokolwiek poprzednie pokolenie i chociaż występując tego wieczora w krótkim dramacie, być może nie powiedzieli prawdy o sobie czy prawdy o wydarzeniach, w których uczestniczyli z własnej woli lub wbrew sobie, jedno jest pewne: w ten późnojesienny dzień, kiedy wielkie czerwone plakaty na ścianach ruin obiecują pięć tysięcy marek nagrody za informację, która pomoże ująć sprawców zamachu na Spruchkammer w Stuttgarcie, powiedzieli prawdę o tym, co myślą o sobie i o pokoleniu, które się ich boi i jednocześnie nimi pogardza.

Sprawiedliwość

W powojennych Niemczech mało jest radości, lecz nie brakuje rozrywek. Sale kinowe są pełne praktycznie od rana do nocy i aby pomieścić wszystkich chętnych, wprowadzono miejsca stojące. W repertuarze są wojenne filmy nakręcone przez aliantów, podczas gdy amerykańscy eksperci od militarystyki z lupą poszukują militarystycznych tendencji w niemieckiej literaturze. Teatry mają pewnie najlepszy repertuar w Europie i najbardziej wygłodniałą publiczność, a na dansingach, gdzie wojskowa policja, w celach higienicznych, przeprowadza co wieczór kilka nalotów, brakuje metrów kwadratowych. Ale rozrywka kosztuje. Koszt przedstawienia teatralnego to tani czas i drogi bilet. Mało jest darmowych rozrywek i trzeba korzystać z tych, które są dostępne.

W niektórych częściach amerykańskiej strefy taką częstą rozrywką są Spruchkammersitzungen, czyli rozprawy przed trybunałem denazyfikacyjnym. Mężczyzna z kanapkami w szeleszczącym papierze, który z niegasnącym zainteresowaniem śledzi zawsze czujnym wzrokiem kolejne rozprawy, należy do stałych bywalców gołych sal na wpół zburzonych pałaców sprawiedliwości, gdzie nie przetrwała nawet pamięć sadystycznej elegancji, z jaką z upodobaniem zwykła się obnosić sprawiedliwość. Nie należy sądzić, że mężczyznę z kanapkami przyciąga do sądu satysfakcja ze spóźnionego triumfu ostatecznej sprawiedliwości. Prawdopodobnie jest miłośnikiem teatru i przychodzi tutaj, aby zaspokoić swoją potrzebę spektaklu. Spruchkammersitzung, kiedy wszyscy uczestniczący w niej aktorzy są dostatecznie interesujący, to kawałek znakomitego, porywającego teatru, gdzie szybkie przeskoki od przeszłości do teraźniejszości, niekończące się przesłuchania świadków, podczas których analizuje się drobiazgowo każdy najdrobniejszy uczynek z ostatnich dwunastu lat, to praktyczne zastosowanie egzystencjalizmu. Atmosfera nierzeczywistości, w której rozgrywa się tropienie przykrych lub strasznych wspomnień całego narodu, nasuwa inne literackie skojarzenie. Wydaje się, że jesteśmy w fantastycznym świecie *Procesu* Kafki. Te sądowe sale z na wpół zamurowanymi oknami, ogołoconymi ścianami, zimnym światłem żarówek i zgrzebnymi, uszkodzonymi przez bomby meblami, położone wysoko pod zniszczonym dachem, są jak ilustracja rzeczywistości panującej na opustoszałych poddaszach, gdzie toczy się akcja powieści.

Jest znamienne, że tak poważna kwestia, jak denazyfikacja, jest przede wszystkim wydarzeniem dla recenzenta teatralnego. Jednak dla człowieka z zewnątrz nawet te krótkie rozprawy, trwające zazwyczaj nie dłużej niż kilka godzin, mają szczególne znaczenie, gdyż

dają wyjątkowo ostry obraz czasów Hitlera, powodów, dla których jedni przyłączyli się do nazizmu, a inni nie. Podczas przesłuchań świadków niejednokrotnie czuć zimny powiew czasów trwogi. Niewidoczny dotychczas kawałek historii, ożywając na krótkie intensywne chwile, sprawia, że powietrze w surowej sali rozpraw drży. Tak, dla tego, kto nie żył w czasie jaszczurów², te rozprawy mają niebywałą wartość dokumentalną, ale jako instrument denazyfikacji są absolutnie nieskuteczne; musimy się tu zgodzić z powszechną opinią na ten temat.

Istnieje bowiem wrzuszająca jednomyślność co do żalonych, ba, nawet skandalicznych form denazyfikacji. Byli naziści mówią z oburzeniem o barbarzyństwie zbiorowej odpowiedzialności. Inni uważają, że grzywna w wysokości kilkuset marek w żadnym razie nie jest szczytem barbarzyństwa, natomiast utrzymywanie potężnego aparatu dla szeregowych Pp, podczas gdy grube ryby pozostają bezkarne, to marnotrawienie siły roboczej. Taśmowy system rozpraw w sądzie bez wątpienia podkreśla groteskowość samej zasady denazyfikacji. Typowym wyrazem tej opinii jest fakt, że komuniści, trawestując Falladę, w swojej propagandzie wyborczej hasłem „*Kleiner Pp - was nun*”³ usiłowali przyciągnąć szeregowych członków partii nazistowskiej, wykorzystując ich niezadowolenie. Teraz zresztą nie mówi się Spruchkammer, lecz Bruchkammer, co znaczy mniej więcej: zdemolowana izba, albo Sprichkammer, gadająca izba.

Gadanie ma jednak swoje zalety, szczególnie gdy chce się poznać przynajmniej część prawdy o historii ostatnich dwunastu lat. Pewnego dnia rozprawa zaczyna się od niepozornego nauczyciela szkoły podstawowej, a kończy na skorumpowanym nazistowskim funkcjonariuszu. Odbywa się we Frankfurcie nad Menem, gdzie „Sprichkammer” po raz pierwszy wypada lepiej niż obiegująca opinia o niej. Polega to oczywiście na tym, że tutejsi sędziowie nie wstydzą się swojego zajęcia i nie wążą każdego słowa, wykonując symboliczne ukłony wobec oskarżonego.

Nauczyciel nie należy do najbardziej winnych, był członkiem sa, ale poza tym niewiele mu można zarzucić. Drobny, blady, układny mężczyzna odpowiada na wszystkie pytania, grzecznie jak w szkółce niedzielnej. Mówi o biednym i ponurym dzieciństwie i o tym, że zawsze chciał zostać nauczycielem. Był już na dobrej drodze do osiągnięcia celu, kiedy przyszedł nazizm i postawił go wobec ciężkiego wyboru: zostać posłusznym członkiem jednej z nazistowskich organizacji i spełnić swoje marzenie albo zaprzepaścić swą przyszłość.

- Trawiony wątpliwościami, po długich dyskusjach z żoną postanowiłem wstąpić do organizacji.

- Dlaczego akurat do sa?

- Uważałem, że jest najmniej szkodliwa.

- „*Die Strasse frei den braunen Bataillonen*”[fn][fn] uważa pan za nieszkodliwe? - dziwi się sędzia.

Ale pozwany przedstawia sześciu świadków na dowód Początek pieśni ku czci Sturmführera Horsta Weesela, która stała się hymnem nazistów.d swej niewinności, świadków, którzy zapewniają, że nigdy nie słyszeli, żeby się wypowiadał w duchu nazistowskim, i zaświadczenia, że słuchał zagranicznego radia (jak wszyscy oskarżeni). Następnie powołuje żydowskich świadków, którzy widzieli, że zachowywał się przyzwoicie wobec Żydów (takich świadków mają wszyscy oskarżeni; jeden kosztuje kilkaset marek), oraz dyrektora szkoły, który co prawda nie był na żadnej jego lekcji, ale zadziwiająco dużo o nich wie, i na końcu młodzieńką bibliotekarkę z seminarium nauczycielskiego, która zapewnia, że pozwany jest prawdomówny, ofiarny, obowiązkowy, dba o książki i jest dobry dla dzieci oraz psów, i która wybucha płaczem, kiedy sędzia strofuje ją, że to nie należy do rzeczy. Wszelako główną przyczyną uniewinnienia nauczyciela jest fakt, że dyrygował przez rok chórem kościelnym, kiedy prowadzenie jakiegokolwiek kościelnej działalności stało się niebezpieczne. Wstawił się za nim sam oskarżyciel i sprawa została zamknięta.

Potem następują dwa sztampowe przypadki, którym mężczyzna z kanapkami przysłuchuje się niechętnie i z roztargnieniem. Sprawy tak pospolite, jak nazwiska pozwanych: Müller i Krause.

Herr Müller był w swoim zakładzie pracy przedstawicielem nazistowskich związków zawodowych, poronionego tworu, który naziści przez wiele lat usiłowali bez powodzenia ożywić, ale świadkowie zapewniają, że Müller co prawda prowadził agitację, lecz nie stosował gróźb. Niemniej miał na sobie dwa razy mundur związkowy, z tego raz w dniu narodzin Zbawiciela. Poza tym słuchał, rzecz jasna, zagranicznego radia i okazał życzliwość żydowskiej rodzinie. Skończyło się na dwóch tysiącach marek tytułem Wiedergutmachung (zadośćuczynienia), konfiskacie munduru i dodatkowej grzywnie w postaci garnituru, ubrań i pary butów.

Pan Krause słuchał zagranicznego radia i miał kuzyna Żyda. Pan Krause, mały pokaszający księgowy, co chwila zdejmując okulary, które nerwowo wędrują między nosem a stołem. Wstąpił do partii dopiero w 1940 roku. Pan Krause posiada szesnaście długich zaświadczeń od kierownictwa banku, od kolegów z banku, od sąsiadów, od lekarza, który go leczył, od adwokata, który prowadził jego sprawę rozwodową. Pan Krause odczytuje jedno po drugim nosowym usypiającym głosem, aż wreszcie sąd pomału zapada w drzemkę i słyszczyć już tylko szelest papieru w głębi sali.

Dlaczego pan Krause został nazistą w 1940 roku?

Z zaświadczenia wynika, że przyczyną była sprawa rozwodowa, która rozpoczęła się w roku 1930 i której nie wstrzymało nadejście nazizmu. Z jej to powodu w 1939 roku pan Krause został bez pieniędzy i cierpiał na bóle żołądka. W roku 1940, doprowadzony do skrajnej rozpacz, pomijany przy awansach na rzecz partyjnych kolegów, pan Krause zdecydował się na ten odrażający krok.

Tu sędzia mu przerywa:

- A czy przypadkiem nie dlatego, panie Krause, że akurat wtedy Franc ja poniosła klęskę i uznał pan to za najlepszy moment, aby okazać poparcie zwycięzcy, tym bardziej że zapewniało to panu posadę z wyższym wynagrodzeniem?

Ależ skądże, nic podobnego. Pan Krause nie jest jakimś *Nutziesser* (profitentem), pan Krause nie miał zamiaru czerpać korzyści z czyjogoś pozornego zwycięstwa. Owszem, pozornego - słuchało się przecież zagranicznego radia. Zresztą pan Krause co prawda awansował, lecz dostał posadę w banku na froncie wschodnim - „i, wysoki sędzie, dla człowieka z chorym żołądkiem”... Nie, pan Krause był po prostu biedny i chory i musiał się ratować. Ponadto powołuje się na szesnaście zaświadczeń.

Tymczasem adwokat kartkuje opasły tom przepisów. Wreszcie prosi o głos z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Może to nie wynika z zaświadczeń, ale pan Krause jest w istocie nadal zatrudniony w tym samym banku, który to bank pracuje obecnie dla władz okupacyjnych, a zgodnie z ustawą denazyfikacyjną Niemcy zatrudnieni przez rząd wojskowy nie mogli być oskarżani o nazizm.

- Bo chyba trudno posądzać Amerykanów, wysoki sędzie, że zatrudnili u siebie osobę podejrzaną, i to na tak wysokim stanowisku?

W sali zapada milczenie i śmiertelna cisza miękko opada na przedmiot rozprawy jak szerokie, nieprzejrzyste pasmo cenzury. Pozew przeciwko panu Krause zostaje niezwłocznie oddalony, po czym drobny, nerwowy, pokorny oraz zawsze tak samo usłużny Pinneberg⁴, ze swoim rozwodem i doskwierającym żołądkiem, dociska okulary na nosie, wkłada do lśniącej teczki szesnaście maszynowo napisanych zaświadczeń, niepozorny przygarbiony człowieczek, który składając ukłon sędziemu, ławnikom, adwokatowi i oskarżycielowi, pospiesznie opuszcza salę w obawie, że spóźni się do banku w 1946 roku, tak samo jak bał się spóźnić w 1924, 1933 i 1940, a później w pobliżu Stalingradu w roku 1942.

Następny jest pan Sinne i nie jest to przyjemny człowiek. Pan Sinne ma siedemdziesiąt trzy lata; kruchy, siwowłosa, z głową jak lalka, o aparycji emerytowanego anioła. Ale pan Sinne nie jest aniołem. Jest byłym nazistowskim aktywistą. Był dozorcą w

bloku i nie pomogą mu zaświadczenia, że przyjaźnie odnosił się do Żydów czy słuchał zagranicznego radia. Sąd ma dowód na to, że pan Sinne mówił: „Mój blok ma być wolny od Żydów”. Sąd ma świadków, że pan Sinne groził właścicielom sklepów w swoim bloku, że jeżeli będą sprzedawać żywność Żydom, doniesie na nich do wyższej instancji. Świadkowie opowiadają, że kupować mogli dopiero po zamknięciu sklepu, zakradając się do środka tylnym wejściem. Świadek, kobieta, często widywała pana Sinne, jak podsłuchiwał przez otwór na listy pod drzwiami jej przyjaciółki. Syn niejakiego pana Meyera, którego balkon widać było z okna pana Sinne, stał pewnego wieczoru na tym balkonie z żydowską dziewczyną. Dzień później pan Sinne pouczył go, że nie powinien przyjmować u siebie Żydów.

Przez ten czas wiewiórcze oczy pana Sinne biegają od jednego świadka do drugiego i nagle, choć może to złudzenie, wydaje się, że pana Sinne otacza błona lodowatego przerażenia, z wysuszonego ciała starego człowieka emanuje śmiertelny chłód, który z odległości dziesięciu metrów przenika słuchacza zimnym dreszczem.

Mówi jeden z żydowskich świadków:

- W bloku pana Sinne mieszkał wysoki funkcjonariusz partyjny, ale, co charakterystyczne, nigdy się go nie baliśmy. Natomiast pana Sinne baliśmy się wszyscy. Pan Sinne nie należał do nazistowskiej wierchuszki, był jednym z tych cichych, wiernych, straszliwie skutecznych trybików, bez których nazistowska machina nie przetrwałaby nawet jednego dnia.

Pan Sinne powoli wstaje.

- Panie Cohn, pan się codziennie tak uprzejmie ze mną witał - mówi z pretensją - nie widać było, żeby miał pan się na co uskarżać.

- Panie Sinne - wtrąca łagodnie sędzia. - Jestem przekonany, że wiele osób uprzejmie się z panem witało, dlatego że się pana bali.

- Kogo, mnie? Starego chorego człowieka!

- Spójrzcie na twarz tego starca! - wykrzykuje teatralnie adwokat. - Czy byłaby zdolna wzbudzić w kimś strach?

Jedna z kobiet traci opanowanie:

- Pomyślcie raczej o twarzach starych Żydów w bloku pana Sinne! - krzyczy.

Pan Sinne wyjaśnia, że to wszystko kłamstwo, wspomniany balkon nie jest widoczny z jego okna, nigdy nie mówił, że jego blok ma być wolny od Żydów. Nigdy też nie zakazywał komukolwiek robienia zakupów w okolicznych sklepach. Sprawa zostaje odroczone na tydzień, potem nastąpi przesłuchanie właścicieli sklepów. Pan Sinne, pozostawiony sam

sobie, wędruje wśród pogardliwego szmeru z wzrokiem utkwionym w jakiś punkt w przeszłości, wyniośle unosząc w górę dziecięce czoło siedemdziesięcioletka.

Przypadek Waltera jest nieskomplikowany, lecz interesujący. Walter jest olbrzymem z końskoszpotawą stopą. Natychmiast po wejściu na salę ciska laskę na stół i zaczyna oskarżać rząd w Hesji o korupcję. Sędzia bezceremonialnie go ucisza. Walter był urzędnikiem w nazistowskiej komisji i ciąży na nim zarzut donosicielstwa. Interesujące jest to, że w roku 1946 Walter nadal zasiada w tej komisji i w tym samym roku stać go na zakup gospodarstwa wiejskiego. Oskarżył go pan Bauer, gruby i tępy handlarz koni, który w kraju niedosytu wygląda tak, jakby nawet przez jeden dzień nie chodził głodny. Okazuje się wkrótce, że motywy handlarza koni nie są tak szlachetne, jak można byłoby przypuszczać. Obaj panowie posprzeczali się po prostu o partię owsa, sprzedaną pewnemu anonimowemu amerykańskiemu majorowi, o którego istnieniu artykuł w gazecie, opublikowany następnego dnia, oczywiście nie wspomina ani słowem. Handlarz koni przypomniał sobie nazistowską przeszłość konkurenta i wniósł pozew do sądu. Sprawa została odroczone z powodu braku świadków, lecz sędzia nie może się powstrzymać od sarkastycznej uwagi skierowanej do handlarza koni:

- Z dawnymi panami łatwiej się było dogadać, nieprawda?

Na co handlarz koni spokojnie:

- Z nowymi też idzie nie najgorzej, wysoki sędzie.

I taka jest prawda, to właśnie jest tak przygnębiające, idiotyczne i tragiczne, że z nowymi panami w komisjach czy organach wykonawczych dogadują się ludzie, którzy są wystarczająco bezwzględni, potrafią zbić forszę w każdych okolicznościach. Ofiary nazizmu mają się znacznie gorzej, wszędzie napotykają przeszkody. Przysługuje im prawo do siedzących miejsc w pociągach i pierwszeństwo w kolejkach, ale nawet im się nie śniło z tego korzystać, natomiast panom Walterowi i Bauerowi opatrność, która niejednokrotnie posiada amerykańskie obywatelstwo, zgotowała zbawienne zapadnie na żalosnej scenie denazyfikacyjnych trybunałów.

Zimny dzień w Monachium

Wczesna zima w Monachium, zimny blask słońca. Opustoszała Prinzregentenstrasse, skąd kiedyś na spotkanie śmierci wyruszył do Wenecji jeden z najbardziej nieszczęśliwych bohaterów światowej literatury, tonie w mroźnym świetle. Nie ma chyba nic bardziej samotnego i opuszczonego niż ogromna wyludniona ulica w chłodny poranek w zbombardowanym mieście. Słońce odbija się w złocie Anioła Pokoju, dzielącego Prinzregentenstrasse na dwa monumentalne miękkie zjazdy na most nad Izarą, którą Hitler powinien był widzieć z okna swojego domu na Prinzregentenplatz. W ogrodach pałaców, gdzie dawniej mieściły się zagraniczne poselstwa, leżą zwalone kolumny. Na boisku sportowym po kruchym lodzie sunie na łyżwach kilku Amerykanów, ale zielona Izara jest jak zwykle zielona, a niżej pod mostem kilka bomb pozostawiło układankę z tamy.

Brudny jeep przemierza długą ulicę. Między spieczonymi fasadami domów stoi surowy rządowy budynek, w którym premier Bawarii, doktor Högnner, codziennie przez kilka godzin przemysłiwuje nad zakończeniem znajomości z pozostałymi Niemcami, zgodnie z popularną bawarską teorią, że Prusy już dwukrotnie doprowadziły Bawarię do zguby - trzeci raz się nie damy. Bawaria, która z zimną krwią odsyła hanowerczyków, hamburczyków i mieszkańców Essen do ich strasznych miast, okazała się niewątpliwie bez serca, egoistyczna i bezwzględna, ale nie jest to cała prawda. Niemal jedna czwarta Bawarczyków nie odczuwa żadnej solidarności z resztą Niemiec, ponadto wbrew temu, co się zwykle sądzi, właśnie w Bawarii istniał dość znaczny pasywny opór wobec nazizmu.

Lecz niedaleko Prinzregentenstrasse znajdują się ruiny Brunatnego Domu. Monachium było miejscem pierwszego hitlerowskiego puczu w 1923 roku i ruiny Bürgerbräukeller świadczą o tym, że historia nazizmu ma głębokie korzenie właśnie w tym miejscu. Naturalnie, kpi sobie mieszkaniec Monachium, może to skutek wiosennego fenu, wiatru z gór, który u wszystkich monachijczyków powoduje uporczywy ból głowy przez cały miesiąc. Dodaje jednak, że od kiedy naziści nakazali przechodniom zdejmować nakrycie głowy przed Feldherrenhalle, gdzie wzniesiono tablicę upamiętniającą szesnaście ofiar puczu, ruch pieszy w tej zawsze ruchliwej części Monachium wydatnie zmalął.

Przy Prinzregentenstrasse znajduje się również Export-Schau. Mieści się w jednej z bezpłatnych pseudoklasycznych hitlerowskich budowli, które wyglądają jak antyczne dopiero po zburzeniu. Wystawa Eksportu jest sadystycznym przedsięwzięciem - miejskie władze z osobliwym wyczuciem psychologii demonstrują za jedną markę osiągnięcia

przemysłowe Bawarii, czyli to, co Bawaria potrafi wyeksportować do Ameryki. Gospodynie ze zbombardowanych domów mają okazję podziwiać tam przesłiczną porcelanę, o której mogą tylko pomarzyć, lecz nigdy nie będą na niej jadły, ogromne butelki prawdziwego niemieckiego piwa, którego nie wolno już pić, i wytworne tkaniny, których nie wolno dotykać. Na ludziach biednych i głodnych musi to robić wrażenie złego snu, w którym co prawda wszystko jest nierzeczywiste, ale śniący przez cały czas ma świadomość dręczącego go głodu i biedy.

Kilka minut jazdy dzieli Prinzregentenstrasse od Königsplatz, pustyni wybudowanej przez architektów nazistowskiego systemu, założenia, które bardziej niż cokolwiek innego obnaża bezstylowość, posępność i konstrukcyjny sadyzm nazistowskiego ideału. Wjeżdża się tam wąskimi arkadami zburzonego łuku triumfalnego albo między dwoma wysokimi marmurowymi grobowcami upamiętniającymi męczenników z Monachium. W każdym z nich mieściło się osiem cynkowych trumien, dopóki Amerykanie nie przenieśli ich w nieznanie miejsce. Po obu stronach byłych grobowców stoją dwa lodowato zimne potężne pałace, typowe budowle z epoki Hitlera, wyglądające jak mauzolea wzniesione nie dla upamiętnienia czyjejś śmierci, lecz dla samej śmierci jako zasady. W jednym z owych mauzoleów podpisano w 1938 roku traktat monachijski. Łuk triumfalny był wtedy jeszcze cały i wystarczy przymknąć oczy, by ujrzeć w wyobraźni, jak kawalkada samochodów wjeżdża przez arkadę i miękką linią zbliża się do monumentalnych grobowców, gdzie przez chwilę leżał pogrzebany los świata. W dzisiejszy chłodny wczesnozimowy poranek wydarzy się coś, co na godzinę lub dwie wywoła zmarłych z ich grobów.

Pod łukiem triumfalnym zajmuje miejsce orkiestra dęta. Zimny blask słońca iskrzy się na instrumentach, z ust muzyków wydobywa się para. Przemierzam ten nieogarniony plac, którego nawierzchnia z olbrzymich kamiennych bloków jest jak ogromny przedsionek niedostępnego zamku, jaki czasami pojawia się we śnie, a ciężkie amerykańskie ciężarówki, które po specjalnie namalowanych białych liniach wjeżdżają z dużą prędkością pod łuk, wydają się całkiem nie na miejscu w tym otoczeniu. Kilkaset dygocących z zimna osób zebrało się przed orkiestrą, między innymi amerykańska korespondentka w wojskowym mundurze, jedna z tych szczególnych istot, które najwyraźniej urodziły się z aparatem fotograficznym w dłoni. Dwie ciężarówki ustawiły się z tyłu za orkiestrą i ich połączone platformy utworzyły trybunę dla dziennikarzy i mówców. Powoli napływają ludzie i o dziesiątej zgromadził się już dziesięciotysięczny tłum.

Orkiestra gra trzaskającego w zimnie marsza. Ostrzą pióra monachijscy dziennikarze, przedstawiciele owych szczególnych gazet, które w większości nie posiadają telefonów,

maszyn do pisania ani redakcyjnych lokali, lecz mimo wszystko ukazują się w jakiś tajemniczy sposób, drukowane w piwnicznych pomieszczeniach, gdzie w czasie deszczu woda sięga do kostek, a personel musi chodzić w kaloszach, owych komicznych gazet, które na życzenie Amerykanów muszą „stać ponad podziałami partyjnymi”, na skutek czego niejedyn przeciętny Müller mógł przeczytać w swojej poniedziałkowej gazecie o przewodniczącym socjaldemokratów, który zalecał wzmożoną nieufność wobec unii chrześcijańsko-społecznej, w środowym wydaniu tej samej gazety o przewodniczącym unii chrześcijańsko-społecznej wzywającym do zachowania ostrożności wobec socjaldemokratów, a w piątek w tejże gazecie o przewodniczącym partii komunistów stanowczo ostrzegającym przed socjaldemokratami i unią chrześcijańsko-społeczną.

Dziennikarze ostrzą zatem pióra, z głośników męski głos wita zebranych, cichnie szmer, milknie muzyka. Na podium sztywnym krokiem wchodzi mężczyzna bez płaszcza. Zapada jeszcze głębsza, niemal grobowa cisza, w zimnym powietrzu nad Königsplatz w Monachium wibruje napięcie jak przed mającym nastąpić wystrzałem. Mężczyzna stojący przed mikrofonem to doktor Schumacher, przywódca niemieckich socjaldemokratów.

Czar pryska, gdy zaczyna mówić. Staje się jasne, dlaczego zdjął z siebie płaszcz. Doktor Schumacher to mówca, który w temperaturze dziesięciu stopni przemawia w marynarce i nie marznie. W kabarecie Schaubude Kästner parodiuje Schumachera: oto nowy Führer - wymachuje ramionami i histerycznie wrzeszczy, jak tamten. Karykatura jest niezbyt trafiona, bo przedstawia nowego Führera z dwoma ramionami. Doktor Schumacher ma tylko jedno ramię, lecz posługuje się nim w fascynujący sposób. Niezupełnie jest też prawdą, że doktor Schumacher wrzeszczy. Wrażenie robi raczej jego powstrzymana pasja, jego zawziętość, absolutny brak sentymentalizmu w głosie, co pozwala mu na wygłaszanie melodramatycznych zwrotów brzmiących jak gorzkie prawdy, oraz cierpka szorstkość, którą łatwo wziąć za wiarygodność i dzięki której wypowiedane półprawdy brzmią jak niepodważalne prawdy.

Nawet przeciwnicy doktora Schumachera uważają go za osobę godną szacunku i nie ma wątpliwości, że jego bojowość jest z gruntu uczciwa, mimo to na swój sposób potwierdza on tezę, że dramatem niemieckiego polityka jest jego talent mówcy. Odnosi się wrażenie, że doktor Schumacher pozwala się uwodzić swoim słuchaczom, że śmiało sformułowania płynące z jego ust są bardziej wynikiem interakcji zachodzącej między nim i publicznością niż owocem jego własnego, przemyślanego doświadczenia politycznego.

Schumacher z pewnością zdaje sobie sprawę, że jego położenie robi się niebezpieczne, może nawet śmiertelnie niebezpieczne, w miarę jak on sam staje się uosobieniem oczekiwań,

które w gruncie rzeczy nie mają nic wspólnego z polityczną linią jego partii. Byłoby naiwnością sądzić, że te dziesięć tysięcy, które wiwatuje, kiedy Schumacher składa hołd „siedmiu milionom nieobecnych towarzyszy” (więźniowie wojenni), kiedy zawiesza głos, mówiąc o haniebnym traktacie monachijskim (zawieszenie głosu jest szczególnie efektowne w momencie, gdy dziesięć tysięcy słuchaczy ma za plecami budynek, gdzie podpisano ów traktat), kiedy domaga się zwrócenia Zagłębia Saary, Ruhry, Prus Wschodnich i Śląska, że te dziesięć tysięcy to socjaldemokraci. Jeszcze bardziej godne ubolewania jest złudzenie, że większość z tych dziesięciu tysięcy żywi jakiegokolwiek zainteresowanie demokratycznymi ideałami, których rzecznikiem jest między innymi Schumacher.

Sukces Schumachera jako polityka i to, że wraz z Churchillem zajął w sercach wielu podejrzanych osób miejsce niewątpliwie zwolnione po załamaniu poprzedniego systemu, polega na tym, że udało mu się znaleźć wspólną platformę, gdzie jest miejsce dla wszystkich, niezależnie od politycznych poglądów. Jednostronność politycznego przekazu doktora Schumachera sprawia, że akceptują go również Niemcy, którzy do tej pory nie odzegnali się od nazizmu i wcale nie myślą tego czynić. Jeżeli przyjmiemy całkiem prawdopodobne założenie, że przypadek doktora Schumachera jest w pewnym sensie umiejętnością uwodzenia słuchaczy przez nazbyt zręcznego mówcę, to w Monachium objawia się ona w ten sposób, że mówca już od samego początku zabezpiecza się przed jakimkolwiek sprzeciwem ze strony publiczności, konsekwentnie poruszając kwestię utraty terytorium, co nawet najbardziej obojętni Niemcy uważają za oburzająco niesprawiedliwe. Tylko jeden jedyny raz dobiega z tłumu słaby pojedynczy protest. To komunista, który godzi się na przejście przez Rosjan Prus Wschodnich.

- Ludzie przyszli tu słuchać mnie, a nie ciebie - ripostuje zgrzyźliwie doktor Schumacher, na co mniej więcej dziewięć tysięcy siedmiuset słuchaczy wybucha aprobującym śmiechem.

Owszem, doktor Schumacher jest na pewno dobry dla partii, powstaje jednak pytanie, czy nie jest za dobry, to znaczy niebezpieczny, nie z powodu głoszonych poglądów, bo podobne poglądy otwarcie głosi również Neumann w Berlinie, Paul Löbe i inni najważniejsi socjaldemokraci, ale z powodu olbrzymiej popularności, dzięki której partia może odnosić zwycięstwa w wyborach - lecz jakie zwycięstwa?

Niemiecka socjaldemokracja przedstawia popularność wśród wyborców jako dowód na to, że w niemieckim narodzie upowszechnia się idea demokracji; to jednak pobożne życzenie i niebezpieczne samooszukiwanie się. Wśród zwolenników socjaldemokracji jest niewątpliwie wielu takich, którzy cieszą się, że będą mogli bronić idei niemieckiego

nacjonalizmu, głosując na demokratów. Między głosami oddanymi na poszczególne partie a ich faktyczną siłą zachodzi istotna różnica, która potwierdza prawdziwość tego twierdzenia. Warto pamiętać, że w przeciętnym niemieckim mieście stosunek głosów oddanych na socjaldemokrację do głosów oddanych na komunistów wynosi sześć do jednego, podczas gdy stosunek liczby członków - trzy do dwóch.

Całą bezradność tego wysokiego wąłego mężczyzny o posępnej twarzy widać dopiero wtedy, kiedy przestaje mówić. Przemówienie trzymało go na nogach, rozpałało, teraz nagle się kurczy, ktoś zarzuca mu szalik na szyję i pomaga włożyć płaszcz. Idzie do samochodu, torując sobie drogę wśród morza ludzi. Pozdrawiają go okrzykami, na które nie zwraca uwagi. Zасыpują pytaniami, na które nie odpowiada. Nazajutrz ma udać się do Anglii i ktoś krzyczy: „Proszę pamiętać, żeby to samo powtórzyć w Londynie, doktorze Schumacher!”. Doktor Schumacher kiwa potakująco głową, ale się nie uśmiecha. Doktor Schumacher uśmiecha się niechętnie, doktor Schumacher to człowiek, który zdobył zaufanie całego narodu, prawie się nie uśmiechając, który stworzył wielu Niemcom możliwość głosowania na demokratów, mimo że nie są demokratami, a wręcz przeciwnie. Nie było to, rzecz jasna, zamiarem doktora Schumachera, tylko wynikiem jego pod wieloma względami racjonalnej, lecz ideologicznie płytkiej propagandy.

Trudno nie zgodzić się z poglądem tego bez wątpienia najbardziej utalentowanego współczesnego niemieckiego polityka, który jednocześnie ma najczystsze ręce, na krzywdy wyrządzane Niemcom przez politykę aliantów: paraliż produkcji spowodowany złą organizacją demontażu urządzeń produkcyjnych; rozdzielanie jałmużny w postaci żywności zamiast wspomagania niemieckiej produkcji pokojowej, która mogłaby samodzielnie finansować import żywności; zmuszanie do pracy jeńców wojennych, co jest sprzeczne z konwencją haską i wysoce niewłaściwe, jeśli niemieckie społeczeństwo ma się nauczyć przestrzegać konwencji w przyszłości; zapowiedź radykalnych zmian granic, co zagraża żywotnym interesom Niemiec. Czy to, że niemiecki socjalista, który cierpiał więcej, a w każdym razie dłużej, w czasach nazistowskiego terroru niż jakikolwiek socjalista w innym kraju, wygłasza takie myśli, nie jest gorsze niż to, że wygłasza je na przykład angielski liberał Gollancz? Można zarzucać doktorowi Schumacherowi, że w swoich apokaliptycznych prorocत्वach przyjmuje ograniczoną narodową perspektywę, a nie socjalistyczną i międzynarodową. Bywają naturalnie słuszne narodowe postulaty, niemające nic wspólnego z nacjonalizmem lub szowinizmem. Ale czy niemiecki przykład nie nauczył nas, że w Niemczech granica między propagandą narodowych interesów i zajadłym nacjonalizmem istnieje po to, aby ją przekraczać? Czy w ramach demokratycznego wychowania nie powinno

się nauczać tej rzadkiej skądinąd sztuki nienaruszania owej granicy? Doktorowi Schumacherowi można więc postawić zarzut, że ucieka się do propagandy, która świetnie przemawia również do nacjonalistów. Podając im dawkę socjalizmu, demokracji i internacjonalizmu, doktor Schumacher stałby się mniej popularny, lecz bardziej wiarygodny jako rzecznik nowo powstającej demokracji.

W lesie powieszonych

Lasy najszybciej liżą rany. Rzecz jasna, natknąć się można tu i ówdzie pośród dębów na bezrobotną armatę ze złamaną lufą, która zawstydzona i markotna utkwiała wzrok w ziemi. U stóp zboczy wraki małych wypalonych samochodów wyglądają jak wielkie puszki po konserwach. Olbrzymi niechlujni kempingowicze zaśmiecili najlepiej utrzymane lasy świata. Mimo to wojna przeszła lekką stopą przez lasy i okoliczne wioski - o nalotach na miasta świadczyła jedynie czerwona luna na nocnym niebie, czuło się wstrząsy ziemi i słychać było łomot drzwi i okien. Przy okazji dostało się, pewnie przez pomyłkę, kilku domom i tam rozgrywa się dramat wsi. Pewnego wiosennego poranka w wiosce nad Wezerą bomba trafiła w dom dentysty, zabijając lekarza, pielęgniarkę i trzydziestu pacjentów. W tym samym czasie w ogrodzie przy domu przechadzał się mężczyzna, którego córka czekała na usunięcie zęba. W poczekalni towarzyszyły dziewczynce jego żona i matka. Mężczyzna cudem się uratował, lecz stracił całą rodzinę i teraz od kilku lat krąży po wiosce jak wędrujący kamień upamiętniający drugą wojnę światową - ten z pierwszej stoi w niewielkim zagajniku między brzegiem Wezery a domem na skraju wsi i wciąż jest dumą mieszkańców.

Wioski też już zdążyły wylizać rany. Ruiny willi lekarza zostały uprzątnięte, ale zdarza się, że po niedzielnym seansie filmowym ludzie udają się na spacer w kierunku pustej działki i wspominają tamten dzień lub zacierają do przyczółka mostu i spoglądają na jesienną wodę wirującą wokół resztek filarów. Most wysadzili w powietrze rozhisteryzowani młokosi z SS niemal pięć po dwunastej. Nienawistna pamięć o nich trwa niezmiennie do dziś. *Oh, Sie haben gew-ü-üü-tet.* Oj, jak się tu pieklili, prawie tak jak Polacy.

Kłęska splotła ulicą wioski przez pełne dwa dni: obdarci, ubłoceni żołnierze Wehrmachtu na rowerach lub na piechotę, a na końcu szeregu szlochający, potykający się w błocie chłopcy i mężczyźni z Volkssturmu. Co do zwycięzców, to najlepiej zapamiętano dzielnych Szkotów, których około tuzina pochowano na zboczu schodzącym do Wezery, pod białymi krzyżami kwitnącymi jak wiosenne kwiaty w jesiennej szarudze. W sieniach zimnych przepelnionych domów miejscowe dzieci bawią się w wojnę z wynędzniałymi rówieśnikami ze strefy wschodniej lub z Sudetów. Dzieci we wsi leżą rano dłużej w łózkach, próbując przespać posiłek, którego i tak nie dostaną. Pierwsza rzecz, o której myślą, gdy zobaczą książkę z obrazkami, to jak najszybciej uśmiercić jakąś postać lub zwierzę. Chłopcy, którzy przeżyli dwa bombardowania i jeszcze nie nauczyli się dobrze mówić, wymawiają słowo *totschlagen* (zabić) z przerażającą precyzją. Przez rok liczba ludności wioski nad Wezerą

wzrosła mniej więcej dziesięciokrotnie, a do niewielkich ceglanych domów, zainfekowanych nienawiścią, zazdrością i głodem ściśniętych w ciasnocie ludzi, wciąż przybywają nowi mieszkańcy. W małej norce z papierem śniadaniowym w oknach zamiast szyb mieszka Henry, chłopiec pochodzący z niemieckich Sudetów, który stracił kawałek nogi w walkach o Bałtyk, a w tym roku stracił głowę dla Anglika, u którego pracuje.

Dostał zegarek od swojego angielskiego majora i nocami, kiedy z zimna nie może spać, czyta Edgara Wallace'a w oryginale. W innym malutkim lodowato zimnym pokoju młodzianka węgierska Niemka ma łóżko do spania. W dzień pracuje jako pomoc w miejscowej rodzinie lekarzy lub włóczy się po południowym brzegu Wezery i tęskni do Budapesztu. Dwa razy usiłowała odebrać sobie życie, łykając środki nasenne. Teraz cały dom czeka na trzeci raz.

Tak, kiedy przyjeżdża się z krwawiących ruin miast, niemieckie wioski wydają się zaleczone, a lasy dobrze zachowane, lecz ich zdrowie jest pozorne. Zatrzymuję się na kilka dni u przesiedlonej rodziny w podupadłym gospodarstwie, bez ziemi i bez zwierząt, w małej wsi niedaleko Darmstadt. Dochodzi się tam przez dębowy las, porastający miękką niebieskawą górę. Jej zboczem biegnie antyczna rzymska droga. W okolicy jest mnóstwo starych opuszczonych młynów nad romantycznie szumiącymi potokami. W rowie leżą przywiane przez wiatr kartoteki z dawnego magazynu Wehrmachtu, poza tym żadnych innych śladów wojny. Lecz gdy pewnego wieczoru siedzimy i rozmawiamy w kuchni, słysząc pukanie do drzwi i wchodzi mały pyzaty chłopiec z buzią zaczerwienioną od wiatru - przyszedł się pobawić z córeczką gospodarzy, małą, chudą pięcioletnią dziewczynką, która przez ostatnie dwa lata niemal każdą noc przesiedziała w piwnicy. Zapytana, czy chciałaby dostać na Gwiazdkę lalkę zamiast swojego starego Seppelchen⁵, który przecierpiał tyle samo nocy w piwnicy co ona, odpowiada, że wolałaby grubą pajdę chleba z grubą warstwą masła. Ale o tym może tylko pomarzyć. Czasami, kiedy jest naprawdę grzeczna, dostaje kromkę chleba z margaryną posypaną cukrem i taka kromka również jest obiektem marzeń. Za to przybyły chłopiec nie wygląda na dziecko, które musi daremnie marzyć o prawdziwych kromkach.

- *Hänschen hat dicke Backen* - mówi ktoś, a Hänschen uśmiecha się beztrósco. Hänschen ma rzeczywiście pyzate policzki, a w prawej ręce trzyma pajdę chleba z gęsim tłuszczem. Tak więc spotykają się dwa rodzaje kanapek, dwa rodzaje Niemiec: biedne i ucziwe oraz zamożne i wątpliwej proveniencji. Ojciec małego Hansa był oskarżycielem w nazistowskim sądzie, obecnie wycofał się z *Blut* i pozostał przy *Boden*⁶. Zakupił - notabene już po klęsce! - największe gospodarstwo rolne we wsi i powodzi mu się sto razy lepiej niż

byłymi więźniami obozów koncentracyjnych, przesiedlonymi do walących się i nieodnawianych wiejskich zabudowań. Czy ludzie są rozgoryczeni? Owszem, są rozgoryczeni, ale i to nie na wiele się zdaje. Wieczorami siedzimy przy piecu i rozmawiamy o tym, co było i co będzie. Jest wśród nas komunista, który na zawsze ma wyryte na czole oraz wokół ust i oczu dziewięć lat w Buchenwaldzie. Oplakuje przegraną rewolucję, gwałtowny przewrót, ognisty płomień, który błyskawicznie wypaliłby całą nazistowską zarazę, zamiast pozwalać jej się szerzyć, co sprawia, że Niemcy są jeszcze bardziej niezadowolone, nieszczęśliwe i skłócone. Jego zdaniem istniały wtedy odpowiednie warunki, nastroje w kwietniu 1945 roku sprzyjały krótkiej, a intensywnej walce. Żołnierze, których przerzucono z powrotem przez granicę, byli rozżaleni na hitlerowski reżim i zrobiliby wszystko, żeby się z nim policzyć. Więźniowie obozów koncentracyjnych gotowi byli tłumnie rzucić się na swych oprawców, a w zbombardowanych miastach istniały silne antynazistowskie oddziały, które przez całą wiosnę 1945 roku prowadziły lokalne akcje. Więc dlaczego nic z tego nie wyszło? Bo zwycięskie zachodnie mocarstwa kapitalistyczne nie życzyły sobie antynazistowskiej rewolucji. Zwycięskie armie odizolowały niemieckie rewolucyjne ugrupowania, zamiast otoczyć granice Niemiec ochronnym pierścieniem armat i pozwolić Niemcom rozprawić się samodzielnie z wrogiem. Masy więźniów obozów koncentracyjnych nie zostały odesłane do kraju za jednym zamachem, lecz w niewielkich, nieszkodliwych grupach, żołnierzy odsyłano w małych kontyngentach, a działające w miastach grupy oporu, które jeszcze przed zakończeniem wojny prowadziły radykalną denazyfikację, zostały rozbrojone przez aliantów i zastąpione Spruchkammer, co umożliwia nazistowskim prokuratorom nabycie gospodarstw rolnych, a antynazistowskim robotnikom przymieranie głodem.

Owa teoria, wyznawana nie tylko przez komunistów, jest bardzo pociągająca i ukazuje między innymi interesujący aspekt ich tezy o jedności panującej wśród niemieckich partii robotniczych. Okres bezpośrednio po klęsce Niemiec z pewnością sprzyjał jedności na gruncie antynazistowskim, ale wymarzony front ludowy, który zresztą gdzieś rzeczywiście powstał, wkrótce się rozpadł. Jego mieszczański odłam odmówił współpracy z odłamek robotniczym i doszło do rozłamu między socjaldemokratami i komunistami. Komuniści, którzy przy każdej nadarzającej się okazji z łatwo zrozumiałych taktycznych względów podkreślają niemiecki charakter swojej partii, lecz uważają wszystkich jeńców wojennych powracających z Sowietów za antyrosyjskich agitatorów (wynędzniałych nie ze swojej winy), są przekonani, że rozłam jest nieszczęściem Niemiec. Przecież wielu niemieckich antynazistów chciało czegoś innego. Ludzie nieakceptujący komunistycznej oferty jedności bez wolności ubolewają nad tym, że fala antynazistowskiego entuzjazmu z

wiosny 1945 roku nie przyniosła niczego poza partyjnymi podziałami i bezsilnością wobec reakcji, która ostatecznie zwyciężyła. Trwające dwanaście lat marzenie o rewolucji speliło na niczym, na nowo odrodziła się Republika Weimarska.

Stąd rozgoryczenie, frustracja i brak nadziei. Rozgoryczenie z powodu różnicy w kromkach chleba i wielu innych ważnych w życiu drobnostek. O zmierzchu wychodzimy na chwilę przed dom i spoglądamy na jastrzębi profil Burg Frankenstein rysujący się w górskiej mgle. Patrzymy na las, przez który szedłem dzień wcześniej, i mój przyjaciel mówi, że nawet ten las nie jest tak niewinny, na jaki wygląda. W kwietniu 1945 roku powieszono tu trzech niesfornych chłopców, którzy uciekli z Volkssturmu do domu, do mamy. Mały Hans *mit den dicken Backen* zjadł swoją kanapkę i bawi się wśród dębów z drobną, chudą pięciolatką. Prokurator, który zamienił się w chłopa, zwozi z lasu ostatni ładunek drewna. W tym roku wita się uprzejmie z tymi, na których dwa lata temu wydał wyrok. W dodatku pozdrawia ich batem. O, amerykańska ironio! Nazistowski prawnik zwozi swoje drewno z lasu, gdzie niecałe dwa lata temu naziści powiesili dzieci. A w górze, wysoko nad dębami, niemal pod zamkiem Frankenstein, trzaskają ostre suche strzały. To Amerykanie, zaczajeni w górach nad lasem powieszonych, strzelają do dzików amunicją zwycięstwa.

Powrotny do Hamburga

- *Amerika.*

- *Bitte?*

- *Amerika!*

- *Amerika?*

- *Jawohl.*

Teraz już nie ma wątpliwości. Chłopak chce do Ameryki i nic się na to nie poradzi. Można tylko potrząsnąć głową i bezradnie podnieść wzrok na chmurę żelastwa zwisającą ze zrujnowanego dachu, w mroku nad naszymi głowami. Lecz chłopiec, który chce, żebym mu pomógł dostać się do Ameryki, pochyla się nagle nad moją amerykańską torbę i drocząc się, gładzi jej krawędź.

- Pracujesz dla Amerykańców!

- Nie.

- *Doch!*

Na południowoniemieckim dworcu hula wiatr. Uchodźcy ze wschodu przestępują z nogi na nogę wśród szarych tobołków. Strudzeni jeńcy wojenni, powracający do domu po latach spędzonych we Francji, człapią tam i z powrotem w zimnym mroku - ponurzy mężczyźni w długich francuskich płaszczach z wyszytymi na plecach wielkimi literami pg (*prisonnier de guerre*). Duże czerwone plakaty na słupach peronu: poszukuje się zbiegłego polskiego mordercy, byłego strażnika w obozie koncentracyjnym, wzrost sto sześćdziesiąt osiem centymetrów, uzbrojony w pistolet. Rodzice poszukują dzieci zaginionych na frontach, przyklejając na ścianach dworca ogłoszenia pisane wyraźnymi drukowanymi literami. Pewien astrolog z okolic Norymbergi obiecuje, że je odnajdzie, gdy tylko otrzyma przekaz pocztowy na dwadzieścia marek. Na wielkich afiszach młoda kobieta, na której twarzy widać zarys trupiej czaszki, ostrzega przed zakażeniem chorobą weneryczną. Uczą dostrzegać śmierć w każdej napotkanej kobiecie. Na diagramie złowieszczą czerwona krzywa wznosi się pod straszliwie ostrym kątem od lipca 1945 roku, kiedy to żołnierze zaczęli się aklimatyzować. Na przeciwległym peronie pijani amerykańscy chłopcy śpiewają przeboje, każdy na swoją nutę. Biją się na żarty i kłaśnięcie rękawiczką brzmi w zimnej ciszy jak odgłos bębna. Jeden z nich przewraca się, klnąc, na wózek. Rozlega się chichot towarzyszących im kilku niemieckich dziewczyn. Święto Dziękczynienia.

Czy pracuję dla Amerykanów? Wyjaśniam sytuację chłopcu w znoszonym

wojskowym płaszczu i żołnierskiej czapce, czapce klęski, głęboko nasuniętej na czoło. Chłopak jest rozgorączkowany i natarczywy, domaga się pomocy. Patrzy na amerykańską torbę jak na objawienie, torba zwycięstwa z wypchanym brzuchem i lśnącymi okuciami. Pochylony nad nią opowiada o sobie. Ma szesnaście lat i na imię Gerhard. Poprzedniej nocy uciekł z rosyjskiej strefy. Przekroczył granicę pociągiem i na szczęście nikt go nie zatrzymał. Uciekł z miasta Lutra nie z powodu szczególnie trudnych warunków, ale dlatego, że z zawodu jest mechanikiem i nie chce zostać zmuszony do dobrowolnego wyjazdu do Rosji. Znalazł się tutaj bez pieniędzy, bez żadnych kontaktów, bez dachu nad głową.

- *In Deutschland ist nix mehr los.* W Niemczech już się nie da żyć.

Pożyczam mu pieniądze na bilet. Zamierza dojechać przynajmniej do Hamburga, sądzi, że stamtąd płyną statki do Ameryki, statki dają nadzieję. Odchodzi, żeby kupić bilet, gdyby chciał, mógłby zwiać, nie zwrócić reszty z grubego banknotu i rozpląnąć się w ciemnościach. Byłoby to normalne, bardziej normalne niż cokolwiek innego. Ale chłopak, który chce do Ameryki, wraca i kiedy podstawiają pociąg, przepychamy się razem, żeby zdobyć miejsce w typowym powojennym niemieckim wagonie, wyziębionym i ciemnym, ale wyjątkowo z całymi oknami i przedziałami z miejscami do siedzenia. W innych niemieckich wagonach jest ciemno również w dzień, bo puste okiennice zabito drewnianymi płytami. Jeśli ktoś chce mieć jasno, może usiąść w przedziale bez okien, ale tam jest zimniej i do środka wpada deszcz.

Gorączkowe niewidzialne ramiona wpychają pasażerów do nocnego przedziału. W ciemności następują zawzięte milczące przepychanki, krzyczą deptane dzieci, niecierpliwe stopy kopią tarasujące przejścia tobołki uchodźców. Ciemny przedział jest pełny, ale może być jeszcze pełniejszy. Trudno uwierzyć, ile ludzi się mieści na tych kilku marnych metrach kwadratowych. Drzwi się zamykają, gdy robi się tak ciasno, że wszystko zaczyna boleć, w całym pociągu słychać trzask zamykanych drzwi i echo zrozpaczonych głosów tych, co przybyli za późno i muszą czekać jeszcze jedną noc wśród ruin tego miasta, zamiast pojechać do innych ruin.

W ośmioosobowym przedziale jest nas dwadzieścioro pięcioro. Przy dwudziestu pięciu osobach w ośmioosobowym przedziale brak ogrzewania nie ma znaczenia. Jeszcze zanim pociąg rusza, człowiek zaczyna się pocić. Nie ma miejsca na dwie stopy, stoi się na jednej, ale i tak się nie upada, można w ogóle nie stać na żadnej stopie, i tak się nie upadnie, bo inne spocone ciała ściskają jak imadło. Każdy ruch przysparza bólu innej osobie. Tłoczno jest również w toalecie, drzwi są zamknięte, ale to nic nie szkodzi, bo i tak nikt by się tam nie przedostał.

Pociąg wreszcie rusza, wagony gwałtownie szarpnęły i sam fakt, że w końcu jedziemy, przynosi ulgę plecom, ramionom i brzuchowi, wszystkiemu, co siedzi w imadle. Powoli przejeżdżamy przez uszkodzony most, który całkiem niedawno, półtora roku od nastania pokoju, został z grubsza wyremontowany. Nie należy on do tych propagandowych mostów, których otwarcie w obecności przedstawiciela rządu wojskowego, burmistrza oraz nożyczek przecinających wstęgę zawsze pokazują niemieckie kroniki filmowe i które, jak powtarza każdy burmistrz, prowadzą do kolejnego zbliżenia między Niemcami i aliantami. Złośliwi twierdzą, że jest to zawsze ten sam most i te same nożyczki. Zmieniają się tylko burmistrzowie.

Ostatnie światła miasta wpadają przez okno, oświetlając Gerharda, który ma większą wprawę we wsiadaniu do niemieckich pociągów i zdobył miejsce siedzące przy oknie. Oświetlają też rząd znużonych szarych twarzy: wycieńczonych kobiet wyruszających na wieś w poszukiwaniu ziemniaków, przybyłych z Lyonu jeńców w płaszczach, którzy kiedy wlecemy się przez most, mówią, że pięć lat czekali na powrót do domu, więc mogą poczekać jeszcze kilka godzin. Jest tu również niemało ludzi z szarej strefy: handlarze z czarnego rynku oraz osoby, które podróżują z miasta do miasta i Bóg raczy wiedzieć, z czego żyją.

Jedziemy w gęstym mroku, spoceni, podminowani, wciąż jeszcze nie na tyle wyczerpani, aby przestać się złościć.

I w owym mroku zachodzi nagle coś niecodziennego. Ludzie w Niemczech używają charakterystycznych latarek kieszonkowych, które zasilane przez rytmiczne naciskanie denka, furcząc jak trzmiel, niechętnie sączą żółte światło. Taka właśnie latarka zaczyna nagle furkotać w ciemności, wszyscy patrzą w jej kierunku i widzą oświetloną dłoń, dłoń młodej kobiety, na której leży jabłko. Duże, zielone, soczyste, jedno z największych niemieckich jabłek. W przedziale zapada całkowita cisza, cisza z powodu jabłka, o które tak trudno w Niemczech. A jabłko leży na dłoni, tam gdzie je umieszczono, wtedy światło gaśnie i w głuchej ciszy i ciemności słychać upiornie wyraźny odgłos gryzienia, młoda kobieta odgryzła kęs jabłka. Znowu słychać furkot latarki i jabłko leży tam, gdzie leżało, jasno oświetlone na dłoni. Kobieta wpatruje się w nadgryzienie w świetle latarki, jest bezbłędne, ugryzienie, od którego człowiek robi się głodny. Tak długo jak trwa jedzenie dużego jabłka i panuje głucha cisza, jest strasznie. Młoda kobieta o dobrych zębach, które znają wszyscy w przedziale, oświetla jabłko po każdym kolejnym kęsie, może po to, by się przekonać, jak łatwo pokonać materię.

Ale jeszcze zanim jabłko zniknęło, ogarnęła nas apatia. Zwisamy jedni na drugich jak martwi, wsparci na obcych ramionach drętwiejemy w dusznej przestrzeni, cuchnący potem i

stęchłym powietrzem. Trzej jeńcy wojenni, broniąc się przed zaśnięciem, rozprawiają cicho i z wymuszonym ożywieniem o torcie, dużym wspaniałym francuskim torcie, który jeden z nich jadł w Paryżu w czasie okupacji. Usiłuje sobie przypomnieć grubość warstwy śmietany na cieście, czy w środku był koniak, czy arak, czy jadł go łyżką, czy nożem, czy jednym i drugim.

Pod koniec nocy pociąg przystaje na dużej, pustej, silnie oświetlonej stacji. Panuje tu kompletna cisza i nie widać żywej duszy. Zupełnie jak we śnie. Nagle jakiś głos odbija się echem od ścian, z głośnika płynie komenda. *Passkontrolle. Gepäckkontrolle*. Wszyscy pasażerowie mają opuścić pociąg, zabierając bagaż. Po chwili spędzonej na peronie w Eichenbergu, stacji granicznej między niemiecką Anglią a niemiecką Ameryką, zjawia się kilku wysokich amerykańskich żołnierzy. Żują gumę, kopią tobołki i sprawdzają dokumenty. Gerhard jest niespokojny, coś pozmieniał w swoim paszporcie, podał się za robotnika rolnego, a nie mechanika, żeby wykiwać Rosjan, ale wszystko idzie dobrze.

Potem stoimy przy oknie aż do Hanoweru i rozmawiamy o jego życiu. Gerhard jest zadowolony, że wojna skończyła się tak, jak się skończyła, teraz nie musi w każdą niedzielę maszerować z HJ, ale mimo to twierdzi, że jego służba w czasie wojny była *prima, ganz prima*. Był mechanikiem na lotnisku w Holandii i mówi, że nigdy tego nie zapomni. Teraz jednak chce wyjechać, „młodzi nie mają czego szukać w Niemczech”.

Zanim zrobi się zupełnie jasno, na kilku kolejnych stacjach rozgrywają się dramatyczne sceny. W pociągu wciąż panuje tłok, lecz na stacjach czekają zrozpaczeni ludzie, którzy mają takie samo prawo podróżować jak my. Po peronie biegnie zdesperowana kobieta i zatrzymuje się przy każdym przedziale, krzycząc, że musi jechać do umierającego, ale nawet ktoś, kto jedzie do umierającego, nie zabierze się tym pociągiem, chyba że potrafiłby wcisnąć się na siłę. Potężny, gruboskórny facet wpycha się do naszego przedziału, walczy na pięści ze stojącymi w drzwiach, okazuje się lepszy i wchodzi w jedyny możliwy sposób.

Za Hanowerem, gdzie wysiadło wiele osób, wzdłuż pociągu stoją ludzie z pełnymi workami ziemniaków. Wloką je po stopach innych pasażerów, pachną ziemią i jesienią. Kiedy wkładają je na górną półkę, ziemia sypie się na głowy siedzących. Ocierają pot z czoła, kobiety i mężczyźni, i mówią o tragedii, ziemniaczanej tragedii, która przed chwilą się rozegrała.

Pewna kobieta z Hamburga wybrała się do Celle z czterema pustymi workami i wózkiem i po czterech dniach nieprzerwanych wysiłków udało się jej napełnić worki wyżebranymi u okolicznych chłopów ziemniakami. Ostatkiem sił zdołała przytaszczyć worki na stację. Gdy się tam znalazła, jej twarz jaśniała zadowoleniem, otarła pot z czoła i została na

nim ślad dobrej ziemi.

Udało się. Dokonała czegoś, co potrafiło niewielu: zgromadziła zapas ziemniaków na całą zimę dla swojej wygłodniałej rodziny. Stoi więc na stacji w Celle, zadowolona z siebie i z czterech ostatnich dni, i myśli o radości, jaką jej powrót wywoła w domu. Nie wie jeszcze, że jest jak Syzyf, który wtoczył kamień na szczyt góry, za chwilę kamień się przechyli i polecą w przepaść. Ma co prawda worki i wózek oraz silne ręce, ale nie zdoła się zabrać żadnym pociągiem. Z czterema workami ziemniaków nie można się dostać do żadnego niemieckiego pociągu. Może z dwoma, jeśli ktoś się potrafi bić. Kobieta stoi cały dzień, czekając na pusty pociąg, w którym się zmieści cały jej majątek, ale taki pociąg nie przyjeżdża i doświadczeni ludzie mówią, że nie przyjedzie też innego dnia, taki pociąg w ogóle nigdy nie przyjedzie. Kobieta jest w coraz większej rozpacz. Musi za wszelką cenę wracać do domu, i tak już zbyt długo jej nie było, a z Celle do Hamburga nie można iść piechotą. Jedzie teraz naszym pociągiem, rozgoryczona i niewiarygodnie zmęczona stara kobieta, z workiem ziemniaków na półce i resztą worków oraz wózkiem na stacji w Celle.

Przedział jest pełen ziemniaków, pachnie wilgotną jesienią, a na stacjach stoją tłumy ludzi chcących wsiąść do pociągu. Ktoś przynosi wiadomość, że ludzie siedzą już na buforze. Po chwili nad nami słychać tupot marznących stóp, teraz jadą także na dachu. W przedziale jest nieznośnie gorąco. Dzielę się z Gerhardem swoimi wyschniętymi kanapkami. Ktoś opuszcza szybę i na jej brzegu kładzie się z zewnątrz mała ręka, jak w surrealistycznym filmie. Chłopak przede mną nie wierzy, że to prawdziwa ręka, inny zakłada się z nim o alianckiego papierosa. Sceptyk wyciąga dłoń i dotyka nierzeczywistej ręki, maca palcami, i ręka okazuje się prawdziwa. To dłoń kobiety, która przycupnęła na stopniu i trzyma się szyby.

Na Pustać Lüneburską pada pierwszy jesienny śnieg i ludzie, którzy schodzą z dachu i buforu, błagając, by ich wpuszczono, są biali jak kłaczki bawełny. Zapada kolejny zmrok i kilku czarnorynkowych handlarzy wymienia w przedziale papierosy i zwierzenia z miną wtajemniczonych. Zbliżamy się do Hamburga i Gerhard robi się niespokojny. Przestał już wierzyć w Amerykę. W Amerykę mógł wierzyć, kiedy od Hamburga dzieliła go doba. Wie, że nie ma żadnych statków, ale jeszcze się z tym nie pogodził. Czy nie mógłbym go zabrać do Szwecji? I nie pozostaje nic innego, jak skierować wzrok na zabłocone worki ziemniaków na półkach, nic nie mówić, tylko milczeć i czuć wyrzuty sumienia.

Przyjeżdżamy do Hamburga z niemal czterogodzinnym opóźnieniem albo, jak się mówi w języku inflacji, dwieście trzydzieści minut po czasie. Jest zimno i wietrznie, prószy śnieg. Pada na ruiny, na brudne zwały cegieł i dziewczyny z Reeperbahn spragnione jedzenia, a nie miłości. Pada na ospałe kanały, gdzie zatopione barki spoczywają pod pokrywą tłustego

oleju. Idziemy kawałek zimną ulicą, Gerhard i ja. Potem musimy się rozstać przed hotelem z wywieszką: *No German civilians*. Ja wejdę przez obrotowe drzwi, potem do sali jadalnej ze szkłem, białymi obrusami i podium dla muzyków, którzy wieczorami grają fragmenty z *Opowieści Hoffmanna*. Będę spał w miękkim łóżku, w ciepłym pokoju z bieżącą zimną i ciepłą wodą. A Gerhard Blumer wchodzi w hamburską noc. Nawet nie idzie w kierunku portu. I nic na to nie można poradzić. Nic a nic.

Literatura i cierpienie

Jak daleko jest od literatury do cierpienia? Czy odległość zależy od rodzaju cierpienia, jego bliskości, czy też od jego siły? Czy jest mniejsza między utworem literackim a cierpieniem wywołanym odblaskiem ognia niż między utworem a cierpieniem wywołanym samym ogniem? Istniejące w czasie i przestrzeni przykłady pokazują, że zachodzi niemal bezpośredni związek pomiędzy literaturą i odległym, minionym cierpieniem, tak, można nawet zaryzykować tezę, że cierpienie wraz z innymi ludźmi jest formą literacką, odczuwającą przemożną tęsknotę za słowem. Bezpośrednie, dotykalne cierpienie różni się od pośredniego między innymi tym, że nie pragnie słów, w każdym razie nie wtedy, kiedy trwa. W porównaniu z cierpieniem minionym to bezpośrednio jest nieśmiałe, zamknięte w sobie i milczące.

Kiedy samolot w kłębach niemieckiego deszczu ze śniegiem bierze kurs na zimowy wieczór, a ocalały niemiecki orzeł na lotnisku znika w ciemnościach pod nami, kiedy mroczne chmury gaszą światła Frankfurtu, a szwedzka maszyna wznosi się ponad niemieckie cierpienie z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, podróżnego nęka głównie j edna myśl: co by było, gdyby zmuszony był zostać, dzień w dzień głodować, sypiać w piwnicy i w każdej chwili opierać się pokusie kradzieży, nieustannie dygotać z zimna, w chłodzie i głodzie wciąż walczyć o przetrwanie? I wspomina poznanych ludzi, którzy do tego wszystkiego są zmuszeni. Wspomina głównie kilku pisarzy i malarzy, nie żeby głodowali czy cierpieli bardziej od innych, ale dlatego, że zdając sobie sprawę z możliwości, jakie daje cierpienie, usiłowali zmierzyć odległość między sztuką a cierpieniem.

Któregoś dnia w Zagłębiu Ruhry, po długotrwałych deszczach i dwóch dniach pustych półek w piekarniach, spotykam młodego niemieckiego pisarza, jednego z tych, którzy debiutowali w czasie wojny, lecz sami żadnej wojny nie przegrali, bo mieli własne, duchowe, zapasowe wyjścia. Pisarz dostał do dyspozycji elegancką willę w stylu szwajcarskim w środku lasu i kilka kilometrów czerwieniejących drzew dzieli go od potwornej nędzy zrujnowanego zagłębia. To dziwne uczucie, wyjść z kopalni, gdzie zrozpaczony górnik z zaczerwienionymi oczami w czarnej twarzy zdjął zniszczone buty i pokazał mi nogi bez skarpet, a potem wejść w tę jesienną idyllę, gdzie głód i ziąb wyidealizowano do tego stopnia, że nabrały znamion przedmiotu kultu. To dziwne uczucie, wejść do nietkniętego ogrodu i w Niemczech, gdzie książka jest wielką rzadkością i wzbudza uczucie pełne nabożeństwa tylko dlatego, że jest książką, znaleźć się w pokoju zatopionym w książkach, od *Piekła* Dantego do

Inferno Strindberga.

Ta wyspa na upiornym morzu jest schronieniem młodego pisarza o zmęczonym uśmiechu i szlacheckim nazwisku, tam pali papierosy, które dostał za książki, i pije herbatę, równie podłą jak jesień za oknem. Niewątpliwie prowadzi osobliwe życie. Zewnętrzny świat, który składa się z głodujących górników, szarych czynszowych kamienic o zrujnowanych fasadach i szarych ludzi z piwnic, gdzie w takie jak dzisiaj deszczowe dni koślawe prycze stoją w wodzie po kostki, ten świat nie jest tu nieznanym, ale się go nie przyjmuje do wiadomości, trzyma się go na dystans jak coś nieprzyzwoitego. Sam pisarz jest zupełnie niezainteresowany tym, co się dzieje parę kilometrów od domu, jedyny kontakt z tamtejszym życiem i śmiercią ma za pośrednictwem żony, która chodzi do wsi po zakupy i po dzieci jeżdżące pociągiem do szkoły. On opuszcza odludny dom w deszczowym ogrodzie tylko czasami, jak najrzadziej, i udaje się do odpychającej rzeczywistości z niechęcią, z jaką pustelnik wkracza do oazy.

Lecz nawet pustelnik musi z czegoś żyć. Książki niemieckich pisarzy wychodzą tylko w wyjątkowo szczęśliwych przypadkach, toteż pisarze zarabiają, głównie jeżdżąc po kraju i wygłaszając prelekcje lub czytając swoje utwory. Z tych długich, zimnych i deprymujących podróży wracają przeziębieni, zmęczeni i niezdolni do pisania. Nie tylko się na tym nie wzbogacą, ale nawet nie zarobią na utrzymanie. Jeśli ktoś ma książki, to je sprzedaje, żeby kupić herbatę czy papierosy. Jeżeli ma więcej maszyn do pisania, niż potrzebuje, może je wymienić na papier, a jeśli potrzebuje piór do pisania, może je dostać za drogo kupiony papier.

Mój przyjaciel pustelnik wygłasza odczyty o Mörike i Burckhardcie, swoich ponadczasowych ulubieńcach. Te same odczyty wygłaszał w stowarzyszeniach francusko-niemieckich w okupowanej Francji od Paryża po Bordeaux. Mówi z zadumą, że to był najlepszy okres w jego życiu, twierdzi, że lepiej tam słuchali, a atmosfera w okupowanej Francji w latach 1940-1944 bardziej sprzyjała niemieckim odczytom niż ruiny w Zagłębiu Ruhry w roku 1946. „Jasne, że miałem świadomość okoliczności - przyznaje - ale dlaczego zadania wojskowe miałyby mi przeszkodzić w zacieśnianiu więzów między kulturą niemiecką i francuską?”. Brzmi to cynicznie, zanim się człowiek przyzwyczai, jednak rzeczywistość była, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej cyniczna. Na półkach znajduję dwa ładne egzemplarze poezji Hölderlina i Mörike, drukowane w wydawnictwie dla żołnierzy w 1941 roku. Można sobie teoretycznie wyobrazić, że niemieccy żołnierze z wierszami Mörike w kieszeni podbili Grecję, a po zrównaniu z ziemią kolejnej rosyjskiej wsi niemiecki żołnierz wracał do lektury Hölderlina, niemieckiego poety, który powiedział, że miłość pokonuje

zarówno czas, jak i śmierć cielesną.

Ale na wszystkie pytania istnieje zadowalająca odpowiedź. Okrucieństwo tłumaczy się tym, że wojna ma swoje własne prawa. To nie jest cynizm, kiedy pisarz mówi, że jednak podziwiał francuski ruch oporu, ba, wszystkie ruchy oporu oprócz niemieckiego, bo ten ostatni nie miał motywacji narodowej:

- Do obozów koncentracyjnych trafiali tylko ci, którzy nie potrafili trzymać gęby na kłódkę. Mogli przecież milczeć i przeżyć te dwanaście lat.

- Kto mógł wiedzieć, że to potrwa dwanaście lat?

- Mogło trwać i dłużej. Oczywiście. I co z tego? Dlaczego nie spojrzeć na to z historycznej perspektywy, dlaczego nie osądzać tego, co zaszło, tak, jakby się zdarzyło sto lat temu? Ściśle rzecz biorąc, rzeczywistość nie istnieje, dopóki historyk nie umieści jej we właściwym kontekście, a wtedy jest już za późno, aby jej doświadczyć, oburzać się lub płakać. Rzeczywistość musi się zestarzeć, żeby stała się rzeczywista.

Taka jest prawda. W pokoju w willi w Zagłębiu Ruhry rzeczywistość jest nieobecna. Choć po południu do pokoju wchodzi zapłakana gospodyni i opowiada o zajściu w piekarni, którego była świadkiem. Mężczyzna z grubą łaską w rękę wcisnął się siłą przed stojące w kolejce przerażone kobiety i wyniósł ostatni bochenek chleba. Nikt nie odważył się mu przeszkodzić. Lecz dla urodzonego klasyka żaden incydent nie jest tak przykry, żeby warto było dopuścić do siebie pożałowania godną rzeczywistość dziejącą się tu i teraz. W zapadającym zmierzchu rozmawiamy o baroku, barokiem wypełniony jest cały pokój, na stole leżą grube niemieckie opracowania naukowe o barokowym stylu w architekturze. Pisarz pracuje właśnie nad powieścią z okresu baroku według niedokończonego projektu von Hofmannsthal'a i czyta wszystko o architekturze z tamtego czasu, żeby osadzić bohaterów powieści w historycznej rzeczywistości. Chce pokazać prawdziwych ludzi baroku, barokowych z krwi i kości, myślących i żyjących po barokowemu, a nie ludzi przeniesionych ze współczesności, których głodne myśli krążą wokół kawałka chleba. Barok może się wydawać mało aktualnym tematem w Zagłębiu Ruhry, gdzie dochodzi do pierwszych rozruchów głodowych. Jakże zresztą ma znaczenie aktualność w warsztacie pisarza, dla którego czas istnieje dopiero wtedy, gdy jest za późno.

Lecz czym jest cierpienie? Zaczyna mówić o szczęściu wynikającym z cierpienia, o jego pięknie. Cierpienie nie jest obrzydliwe, nie należy mu współczuć. Przeciwnie, cierpienie jest wzniosłe, bo czyni człowieka wzniosłym. „Czym wytłumaczyć zdobycze starej niemieckiej kultury, jak nie tym, że naród niemiecki wycierpiał więcej niż inne narody?” Nie da się go przekonać, że cierpienie jest czymś niegodnym. Tkwiący w nim romantyczny

historyk uznaje cierpienie za najistotniejszą siłę napędową wielkich osiągnięć ludzkości, urodzony klasyk za siłę napędową literatury, która nie musi koniecznie mówić o cierpieniu.

Wieczorem przy kolacji zabiera głos jego matka, której arystokratyczna bladość jest w równym stopniu wynikiem pochodzenia, co niedożywienia, i z tą samą lubością mówi o szczęściu w cierpieniu. Na kolację są ziemniaki i jarmuż, to cały wieczorny posiłek. Członkowie rodziny zachęcają się wzajemnie do nałożenia sobie trochę większej porcji, choć w rzeczy samej zachęta brzmi ironicznie. W tej niezwykle kulturalnej rodzinie głód jest używką. Posiłek ma szczególną wymowę, bo właśnie zjadamy przedostatnią maszynę do pisania. Jem niewiele, najwyżej jeden, dwa klawisze. Po kolacji pisarz udaje się do ostatniej maszyny do pisania i do baroku, którego nigdy nie opuścił, a ja wracam do Zagłębia Ruhry, które w niczym nie przypomina baroku. Wychodząc, spotykam w ogrodzie powracające ze szkoły dziewczynki, Maresi, której imię pochodzi z noweli Lerneta-Holeni, i Wiktorię, nazwaną tak na cześć zwycięstwa nad Francją w 1940 roku. Dzieci są blade, głównie z niedożywienia. A kiedy w drodze powrotnej przejeżdżam przez Düsseldorf, zdaje mi się, że na tle ciemniejących ruin dostrzegam cień skrzydeł pulchnego barokowego anioła.

Miesiąc później w Hanowerze, w pracowni malarza. Mówimy o klęsce i nowej niemieckiej sztuce. Widziałem kilka zadziwiająco nijakich wystaw. Najbardziej interesująca była może wystawa utopijno-komunistycznych artystów, nie tyle ze względu na malarstwo, ile raczej na przesłanie. W pięknie wydrukowanym programie postulują przeorganizowanie świata w potężny związek zawodowy. Istniejące dotychczas nazwy należy zastąpić formą złożoną, w której jednym członem jest słowo *Werk* (dzieło, czyn). Nie będzie się już mówiło artyści, ale *Werkleute*, nie atelier, lecz *Werkstätte*, nie narody, lecz *Gewerkschaften*. I tak dalej. Była tam również programowa ruina. Programowa ruina jest całkowicie nierealistyczną teatralną kulisą. Przed nią dwoje bawiących się dzieci z kwiatami. Po prostu zły teatr. Na innej wystawie najczęstszym motywem nie był teatr, lecz leżące na ziemi głowy rozbitych klasycznych rzeźb z uśmiechem zwyciężonej Mona Lizy na ustach.

- Jeżeli maluję ruiny - mówi malarz w Hanowerze - to dlatego, że dla mnie są piękne, a nie dlatego, że są ruinami. Jest mnóstwo brzydkich domów, które po zbombardowaniu stały się pięknosciami. Muzeum w Hanowerze wygląda całkiem nieźle jako ruina, szczególnie kiedy słońce wpada do środka przez uszkodzony dach.

Nagle chwyta mnie za ramię. Wyglądamy na zdewastowaną ulicę. Przechodzi procesja czarno odzianych zakonnic, jeden z najbardziej przyzwoitych widoków na świecie na tle najbardziej chyba nieprzyzwoitego: bezwstydnej ruiny z płataniną wijących się rur i belek w kształcie szubienicy.

- Kiedyś to namaluję, nie dlatego, że to ruina, ale dlatego, że kontrast jest *so verdammt erschütternd*, cholerny.

W Berlinie 3 lutego 1945 podczas bombardowania. To tytuł rozdziału opublikowanego w niemieckim czasopiśmie, pochodzącego z powieści młodego niemieckiego pisarza, jeden z niewielu przykładów sięgania do świeżo minionego cierpienia. Opisuje ostatnie popołudnie motorniczego tramwaju. Bohater wraca do domu i ku swojemu zdziwieniu nie zastaje nikogo. Jego córka cierpi na epilepsję, więc mogło się coś stać. I kiedy rozpoczyna się amerykański nalot na Berlin, Max Eckert odbywa koszmarną odyseję, która kończy się na podziemnej stacji, gdzie jego rodzina z pewnością spłonęła wraz z tysiącami innych ludzi. W ataku szału rzuca się na policjanta, który wita go *Heil Hitler*, i funkcjonariusz go zabija. Ten przygnębiający, oschły fragment mającej się ukazać powieści pod tytułem *Finale Berlin* wskazuje, że będzie to powieść o zbiorowym cierpieniu, obraz straszliwego cierpienia bombardowanych, które jest wspólne dla wszystkich mieszkańców dużych niemieckich miast i nadal żyje w postaci goryczy, hysterii, chandry, niekochania.

Tymczasem szwedzki samolot wzniósł się jeszcze wyżej ponad niemieckie cierpienie. Lecimy nad białymi wieczornymi chmurami, na szybach mróz wymalował staroświeckie kwiaty. A jakieś trzy tysiące metrów pod nami jest kobieta, która żyje tylko po to, żeby napisać wielką powieść o innym cierpieniu: cierpieniu więźniów obozów koncentracyjnych. Ona sama spędziła kilka lat w obozie dla przestępców politycznych. Należała tam do tak zwanej grupy Rilkego, niewielkiej grupy fanatycznych kobiet, które w wolnym czasie zbierały się w ustronnym miejscu i z narażeniem życia szeptem czytały wiersze Rilkego. Kobieta nie chce jednak pisać o swoim cierpieniu, lecz o innym, jeszcze większym: o cierpieniu jej męża. Spędził osiem lat w Dachau i stał się starym człowiekiem o dwadzieścia lat za wcześnie: siwy, pociągający nogami, o zduszonym głosie. Ona próbuje skłonić go do mówienia: wieczorem przed zaśnięciem, w nocy, kiedy leżą bezsennie, przy posiłkach, ale on jej nie rozumie, nie pojmuje, że mogłaby chcieć pisać o tym, co przecierpiał. Nie rozumieją jej również znajomi, jak ten, który niedawno wrócił z rosyjskiej niewoli i w przeciwieństwie do większości powracających do domu stał się zagorzałym obrońcą Rosjan, bo go nie zastrzelili, gdy dostał się do niewoli pod Stalingradem. Teraz wciąż opowiada, jak jego towarzysze broni ułożyli kiedyś nagie zwłoki Rosjan na poręczy mostu, żeby zrobić niepowtarzalne zdjęcie. Nigdy nie zrozumie, dlaczego pozwolono mu żyć. Praktyczna, otwarta Anna, która siedziała trzy lata w politycznym poprawczaku i właśnie wróciła z trwającej trzy dni dwustukilometrowej wyprawy po worek kartofli, też jej nie rozumie.

Lecz kobieta, która chce pisać, opowiada z goryczą, że przez rok dowiedziała się o cierpieniach swojego męża tylko tyle:

Ktoś uciekł w nocy i o świcie zrywają wszystkich więźniów, muszą stać na baczność w zacinającym deszczu cały dzień i noc, i następny dzień. Komu nie starczy sił, jest zgubiony. Wieczorem przyprowadzają zbiega, strażnicy zawieszają mu na szyi wielki bęben i więzień defiluje przed swoimi towarzyszami, bębniąc marsza, przez cały dzień ten sam marsz, własny marsz śmierci. Upada około północy i więcej już go nie zobaczą.

To makabryczna opowieść, lecz za mało na książkę, a niczego więcej nie może się od niego dowiedzieć. Cierpienie jest wycierpiane i teraz trzeba je zepchnąć w niebyt. Było obrzydliwe, plugawe, haniebne i nieważne, toteż nie należy o nim mówić ani pisać. Odstęp między literaturą a intensywnością cierpienia jest za mały, właściwa pora nadejdzie dopiero wtedy, gdy cierpienie stanie się jedynie czystym wspomnieniem. Mimo to za każdym razem, gdy zostaje z nim sama, wciąż ma nadzieję, że usłyszy słowa, które dadzą jej siłę potrzebną do zanurzenia pióra w cierpieniu.

Trzy i pół tysiąca metrów. Na szybie gęstnieją kwiaty z mrozu. Wszedł już księżyc w zimnej otoczce. Dostaję opis naszej trasy. Lecimy nad Bremą, ale Bremy nie widać. Okaleczoną Bremę zakrywają gęste niemieckie chmury, równie nieprzeniknione jak milczące niemieckie cierpienie. Nadlatujemy nad morze i żegnamy się z jesiennymi, zmrożonymi Niemcami pod ruchomą marmurową posadzką z chmur i księżycą.

Przypisy

¹ Jeden z najpopularniejszych cytatów z *Opery za trzy grosze* Brechta; dosł.: najpierw żarcie, potem moralność. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Nawiązanie do wiersza Karla Ragnara Gierowa (1904-1982) *Ödletid* (Czas jaszczurów). Ten wiersz z roku 1937, opisujący powrót na ziemię jaszczurów i dinozaurów, jest reakcją na ideologie przemocy panujące w okresie międzywojennym.

³ Trawestacja tytułu powieści Hansa Fallady *Kleiner Mann - was nun?* (wyd. pol. *I cóż dalej, szary człowieku?*, przeł. Maria Wisłowska, Warszawa: piw, 1960).

⁴ Bohater powieści Hansa Fallady *I cóż dalej, szary człowieku?*

⁵ Seppelchen (zdrobnienie od Seppel) - tradycyjna postać teatru kukielkowego.

⁶ *Blut und Boden* - Krew i Ziemia, teoria, która zakłada, że fundamentem narodu jest rasa (*Blut*) i ścisły związek z ziemią (*Boden*); podstawa ideologii faszystowskiej.